

Zwrot

1
24

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 Kč
WWW.ZWROT.CZ

JOLA BYRTUS
PIOTR MICHALIK

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

1 Błędownicka polska szkoła ponownie zaprosiła polskie szkoły z okolicy na turniej uni-hokeja „O puchar św. Mikołaja”. Zawody rozegrano w hali miejskiej *Slavia*. Na parkiecie rywalizowało osiem drużyn z czterech szkół: z Cierlicka, Błędownic, Gnojnika i aż cztery drużyny z Suchej Górnjej. Turniej od 2016 roku organizuje Macierz Szkolna przy Szkole Podstawowej i Przedszkolu z Polskim Językiem Nauczania w Hawierzowie-Błędownicach. W kategorii klas 1–5 pierwsze miejsce zdobyła drużyna z polskiej szkoły w Gnojniku, w kategorii klas 6–9 pierwsze miejsce zdobyła drużyna z Suchej Górnjej. ▼



1 W Mostach koło Jabłonkowa odbyła się już po raz szósty *Górolsko Akademia* – wydarzenie, które swoje początki miało w 2011 roku. Celem tej imprezy było podsumowanie sezonu górskiego, a jej inicjatorem był Radek Matuszny. Obecnie wydarzenie organizuje Zespół Folklorystyczny *Górole*. Tegoroczna edycja skupiła się na temacie wiadomości. W programie znalazły się różnorodne scenki, w tym reklamy, reportaże i bajki. Rozrywkę zapewniały miejscowe kapele, zabawa trwała aż do rana.

1-2 Festiwal *Fest Outdoor 2023*, zorganizowany przez MK PZKO w Gródku, przyciągnął licznych entuzjastów gór i przyrody. Wydarzenie trwało dwa dni i wyróżniało się różnorodnością prelekcji oraz udziałem gości z Polski, Czech i Zaolzia. Gwiazdą wieczoru był polski himalaista i alpinista, Aleksander Lwow, który opowiadał o swoich wspinaczkowych przygodach w Himalajach. Festiwal oferował także inne atrakcje, takie jak koncerty muzyczne, spotkania z czołowymi sportowcami oraz dyskusje na tematy związane z turystyką górską i aktywnością na świeżym powietrzu. ▼



2 Odbyła się trzynasta edycja Turnieju Barbórkowego Ringo im. Milana Wałacha. O zwycięstwo w hali sportowej Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie walczyło szesnaście trzyosobowych drużyn. Turniej rozgrywano w dwu kategoriach. W młodszej kategorii do lat 13 startowały cztery drużyny, natomiast w kategorii od lat 14 zmagano się dwanaście drużyn. Organizatorami turnieju było MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum oraz MK PZKO Czeski Cieszyn-Osiedle. W tym roku pałeczkę organizatora turnieju przejął Stanisław Franek.

2 W kościele ewangelickim w Orłowej odbył się koncert adwentowy chóru *Zaolzie*, który został uroczystie otwarty hymnem brewiarzowym *Ave maris stella*. W trakcie wieczoru chór zaśpiewał między innymi angielskie pieśni ludowe, jak *Greensleeves* oraz polskie koledy, w tym *W żłobie leży* wg. rękopisu Kazimierza Boczkowskiego w opraco-

waniu W. Sołtysika. W trakcie koncertu zabrzmiał także duet *Ave Maria* autora Camille Saint-Saënsa, w wykonaniu siostr Magdy Rusek Veselej, dyrygentki chóru *Zaolzie*, oraz Danieli Sławińskiej. W programie wystąpił również kierowany przez Leszka Kalinę chór *Canticum Novum*, który zaprezentował angielskie pieśni, pieśni adwentowe oraz koledy, które razem z chórzystami śpiewali także słuchacze. ▼



2 Uroczystie poświęcono nową kapliczkę. Drewniany obiekt małej architektury sakralnej ściśle nawiązujący do beskidzkiego tradycyjnego budownictwa stanął na rozstaju ścieżek na łączce nad Bystrzycą. Poświęcenie nowej kapliczki było częścią kulminacyjną obchodów bystrzyckiego roku jubileuszowego. Projektantem i budowniczym kapliczki jest Michal Nemeč. Cokół z kamieni zbudował Bogdan Kluz. W dniu uroczystości w pobliżu kapliczki zaaranżowano mini wystawę fotografii ilustrujących powstawanie obiektu. ▼



3 W Domu Polskim w Bystrzycy jak co roku odbyło się *Spotkanie przy opłatku*. Na początku serdecznie powitała wszystkich Dorota Cymorek, która zaprosiła do wysłuchania wykładu pt. *Adwent i Gody – jak to było za naszych starzyków*. W programie artystycznym wystąpiła kapela ludowa, składająca się z przedstawicieli trzech różnych zespołów: *Nowina*, *Bezmiana* oraz *Gorole*. ▼



3 Dzieci w Nydku odwiedził Mikołaj. Przed samym jego przybyciem w Domu PZKO odbyły się zabawy, które wprawiły dzieci w wesoły nastrój świąteczny. Elfinka-Malinka poprowadziła szereg zabaw i konkursów z nagrodami dla dzieci. Gdy wreszcie zawiąta oczekiwany gość, czyli Święty Mikołaj, w sali rozbrzmiewały radosne okrzyki. Mikołaj opowiedział bajkę o fabryce zabawek oraz rozdał dzieciom prezenty. W otrzymanych od Mikołaja torebkach dzieci znalazły słodycze, owoce oraz książeczki.

3 Zarząd MK PZKO w Gnojniku przygotował spotkanie z podróżnikiem a zarazem wykładownicą Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Michałem Milczarkiem.

4 Jan Dziedzicak, pełnomocnik rządu do spraw Polonii i Polaków za granicą, przybył do Czeskiego Cieszyna-Mostów, aby spotkać się z liderami polskich organizacji na Zaolziu i podsumować działania ostatnich czterech lat swojej misji. W Domu PZKO w Czeskim Cieszynie-Mostach z pełnomocnikiem spotkali się przedstawiciele ZG PZKO, Kongresu Polaków, Macierzy Szkolnej, PTTS *Beskid Śląski*, miejscowych kół PZKO oraz innych polskich organizacji. Na Zaolziu z Janem Dziedzicakiem przyjechali też przedstawiciele Kancelarii Prezesa Rady Ministrów: Jan Badowski, dyrektor Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą oraz Jadwiga Szczypiń, zastępca dyrektora Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą. Zebranych w Domu PZKO w Czeskim Cieszynie-Mostach przywitała konsul generalna RP w Ostrawie Izabela Wołłejko-Chwastowicz, która podziękowała pełnomocnikowi za wsparcie, jakie państwo polskie udzieliło Polakom mieszkającym w Republice Czeskiej.

4 Jan Dziedzicak przekazał na ręce Marka Bystronia, prezesa Macierzy Szkolnej w RC Odznakę Honorową za Zasługi dla Polonii i Polaków za Granicą, którą nadał organizacji premier Mateusz Morawiecki. Uroczyste przekazanie miało miejsce podczas spotkania Jana Dziedzicaka z Polakami mieszkającymi na Zaolziu. Spotkanie miało miejsce w Domu PZKO w Mostach koło Czeskiego Cieszyna. ▼



4 Działacze MK PZKO w Sibicy zorganizowali imprezę pod hasłem *Barbórka – u nas w kolóniji pod haldóm*. Współorganizatorem *Barbórki* było Stowarzyszenie



OLZA PRO. Głównym punktem programu był tzw. *skok przez skórę*, czyli inscenizacja przyjmowania nowego adepta górniczego fachu do górniczej wspólnoty. Tego roku nowicjuszy było dwóch: Marek Konieczny – prezes Stowarzyszenia *Olza Pro* oraz Roman Bonek – członek MK PZKO Sibica. Oprócz samej inscenizacji *skoku przez skórę* goście licznie zebrani w Domu Polskim PZKO obejrzeli występ taneczny dzieci z *Zespołiku* działającego przy MK PZKO w Suchej Górnej. Piosenki o tematyce górniczej i związane z górniczą tradycją zaprezentował chór *Lira* z Darkowa. Taneczny i muzyczny program urozmaicono wierszowanymi opisami górniczego pejzażu. Utwory autorstwa Józefa Chmiela czytała Jadwiga Halfar.

4 Biblioteka Regionalna w Karwinie gościła małych czytelników. W sali kinowej głównego budynku spotkali się laureaci konkursu plastycznego związanego z akcją *Z książką na walizkach*. Tym razem bohaterką prac konkursowych była Muchomora Leśna – czarodziejka z książki Beaty Ostrowskiej. Na konkurs nadesłano prawie 300 prac dzieci z pierwszych i drugich klas polskich szkół podstawowych. Z nich wyłoniono 30 laureatów. Najładniejsze prace wybierało dwuosobowe jury w składzie Zbigniew Kubeczka i Władysław Owczarzy. Gościem specjalnym spotkania była ilustratorka Maria Boszczyk, która dzieciom pokazała i opowiedziała, jak powstają ilustracje do tekstów. ▼



4 Nauczyciele zaolziańskich placówek szkolnych przyjęli zaproszenie Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC i spotkali się w licznym gronie na *Wigilijce* w Domu Polskim przy ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie. Gości przywitała pani prezes Monika Plášková. Podkreśliła, jak ważna jest integracja nauczycieli polskich szkół na Zaolziu. Tradycyjny opłatek, a potem wielka uczta dla ducha – przepiękne kołędowanie dzieci i nauczycielki Dariny Szymeczkowej ze szkoły muzycznej z Trzyńca i Bystrzycy.

6 W Centrum Polskim Kongresu Polaków w Cz. Cieszynie odbyło się spotkanie świąteczne PTTS *Beskid Śląski*. Spotkanie rozpoczęła Wiesława Branna etnograficznym rozważaniem o kołędzie jako tradycyjnym utworze poetyckim. Zabrzmiąły także kołеды śpiewane przez uczestników spotkania. Na pianinie akompaniowała Bogusia Przechek. ▼



7 Wyjątkowo w auli Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego odbyło się grudniowe spotkanie Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego. Prelekcję na temat *Dzieje motoryzacji na Śląsku Cieszyńskim w latach 1815–1997* przedstawił Piotr Pluskowski z Cieszyna.

ROZMOWA ZWROTU

Łączy ich sport, hart ducha
i woła walki – rozmowa z Jolą Byrtus
i Piotrkim Michalikiem | 4

ROZMOWA

Jeśli nie masz powołania,
to staraj się zostać powołany | 9

GALERIA ZDJĘĆ

Koncert Świąteczny | 12

NASZE KLUBY

Klub Młodych MK PZKO
w Lesznej Dolnej
– PZKO to od zawsze mój drugi dom | 14

HISTORIA

Leon Biliński – Nieznany mąż stanu | 17

HISTORIA

Stonawska Blizna, 26.1.1919 | 24

WSPOMNIENIA

Pamiętnik nauczyciela z Michałkowic.
Wspomnienia od najmłodszych lat | 28

HISTORIA

Maria Szotkowska:
Ostatnia z partyzantek
Śląska Cieszyńskiego | 33

SZKATUŁKA

Nie żyje Pawełka Niedoba | 36

RECENZJA

Mężczyźni wiedzą najlepiej | 38

SPACER ZWROTU

Spacery Zwrotu
z prezesami Miejsowych Kół PZKO:
Leszna Dolna, cz. 2 | 40

Jesteśmy tam, gdzie coś się dzieje.

Sprawdź na:

www.zwrot.cz



Koncert Świąteczny „Witaj, Gwiazdo Złota” w Bystrzycy. Zaśpiewały chóry Wiolinki i Crescendo



Pierwsza w 2024 roku koniunkcja Księżycy z Jowiszem. Wyjątkowa okazja do odnalezienia największej planety Układu Słonecznego na niebie



Kulig w Wędrzyni-Zaolziu. Pogoda dopisała, dobre humory też



Zaplanuj z nami weekend. Lista ciekawych wydarzeń na Śląsku Cieszyńskim



Najnowszy numer



Ratują antylopy Derbiego. W zespole ekspertów jest również opiekunka z ostrowskiego zoo



Opowieści o kamienicach cieszyńskiego rynku. Wykład Ireny Kwaśny przyciągnął tłumy. Powtórka już w ten piątek



Uwaga, Koleje Czeskie wprowadziły zmiany. In Karta tylko w pociągach pospiesznych, biletematy na przystankach i w pociągach

KALENDARIUM WYDARZEŃ

styczeń 2024						
P	W	S	C	P	S	N
1	2	3	4	5	6	7
8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28
29	30	31				

NAJCZĘŚCIEJ CZYTANE

Koncert Świąteczny. Link do transmisji online
posted on 22. 12. 2023

Szampańska zabawa! Zobacz, jak było na Balu Akademickim (zdjęcia)
posted on 2. 1. 2024

ZWROT ASTRONOMICZNIE: Dziś na niebie zobaczymy trzy planety i słońce. Księżyc
posted on 10. 11. 2023

Dziś nastanie koniunkcja Księżycy z Jowiszem. Warto spojrzeć na niebo
posted on 22. 12. 2023

Strzelanina w Pradze. Ponad 14 ofiar, nie żyje też napastnik (aktualizacja)
posted on 21. 12. 2023



Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Zobacz, jakie prezenty przekazały na licytacji gwiazdy



Festiwal Koled i Pastorałek 'Spotkania z Koledą' po raz pierwszy na Zaolziu. Muzycy oczarowali publiczność



Odlotowy bal w Jablonkowie. Przyjechali na niego Flip i Flap



Odyło się XI Walne Zebranie Delegatów Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”



„Rosja od kuchni” Witolda Szablowskiego podbija Amerykę



Katowice Europejskim Miastem Nauki 2024. Jak powstaje Miasto Nauki

zwrot

magazyn regionalny

nr ewidencyjny MK ČR E 389
rok LXXIV, nr 890, IČ 442771,
numer konta: 232992221/0300

Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2024.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” imienia Jana Olszewskiego.

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / ind@zwrot.cz
Šárka Michalík / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28, Český Těšín (Czeski Cieszyn)

czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12
Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn)
tel. i faks: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek

Redakcja obrazu i składu: Ivana Havlíková i Andrzej Havlík / info@studiomatrix.cz

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

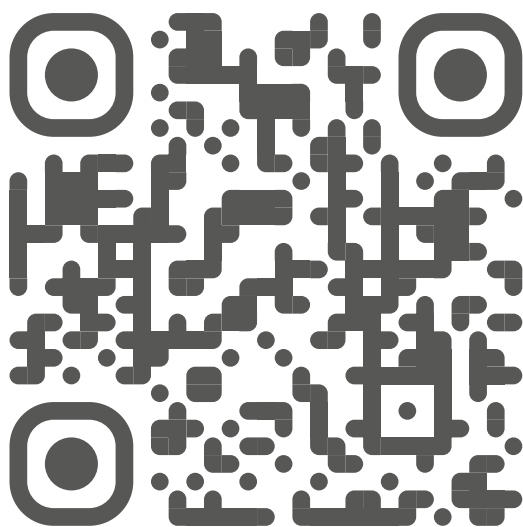
Numer zamknięto 18 stycznia 2024 • ISSN 0139-6277



zwrot • cz

RAPORT  Z ZAOLZIA

**Z nami nic Ci
nie umknie!**



[zwrot • cz/newsletter/](https://zwrot.cz/newsletter/)

**Polskie informacje z Zaolzia
dwa razy w tygodniu
w Twojej skrzynce mailowej**



ŁĄCZY ICH SPORT,
HART DUCHA
I WOLA WALKI

ROZMOWA
Z JOLĄ BYRTUS
I PIOTRKIEM MICHALIKIEM

ROZMAWIAŁA: SYLWIA GRUDZIEN / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, RENATA STASZOWSKA, ARCH. RODZINNE

Jolę Byrtus i Piotrkę Michalika połączyła wygrana w plebiscybie Kongresu Polaków *Tacy jesteście* w listopadzie 2023 roku. Dwudziestojednoletnia Jola otrzymała nagrodę *Złoty jesteście* za odwagę niesienia pomocy i otwartość serca. W ciągu zaledwie dziewięciu dni pokonała Główny Szlak Beskidzki liczący 500 kilometrów. W tym czasie udało jej się zebrać 100 tysięcy koron czeskich na rzecz Stowarzyszenia *Nigdy nie jesteście sam*. Dwunastoletni Piotrek został nominowany za niezłomność ducha, pozytywne spojrzenie na życie oraz wytrwałość w każdym podejmowanym działaniu. Piotrek trenuje w ostrawskiej drużynie hokeja na lodzie na śledzach i zakwalifikował się do czeskiej kadry narodowej juniorów. W plebiscybie wygrał w głosowaniu publiczności.

Połączył was plebiscyt *Tacy jesteście*, sport, hart ducha i wola walki. Na początek mam więc dla was serię krótkich pytań pół żartem, pół serio, żebyśmy się mogli dowiedzieć, czy łączy was coś jeszcze?

Jaki jest wasz ulubiony film lub serial?

Piotrek: Z seriali najbardziej lubię *Stranger things*.

Jola: Zbyttnie nie oglądam seriali i filmów, ale lubię filmy animowane. Moim ulubionym jest *Król lew*.

Piotrek: Ja też lubię *Króla lwa!*

A ulubiona książka?

Piotrek: Nie mam ulubionej książki.

Jola: Ja też nie mam, ale bardzo lubię książki podróżnicze, na przykład książki Ladislava Zibury. Jest to podróżnik, który przemierza świat pieszo.

Ulubiony kanał na YouTube?

Piotrek: Raczej nie mam ulubionego kanału, ale sam chciałbym zostać youtuberem i prowadzić kanał o programowaniu gier. Chciałbym robić dla moich obserwatorów konkursy na najlepiej zaprogramowane gry. Ale to jeszcze nie teraz, może za rok, dwa...

Jola: Moim ulubionym kanałem jest Kovy, który prowadzi Karel Kovář.

Jakie jest wasze ulubione danie?

Piotrek: Bardzo lubię dania japońskie i skandynawskie, czyli głównie ryby. I bardzo lubię, gdy mi mama gotuje.

Jola: Oj, to chyba nas jedzenie nie łączy (śmiech). Nienawidzę ryb. Najbardziej lubię zupę pomidorową z makaronem.

Jakiej słuchacie muzyki?

Piotrek: Na pewno nie k-popu (*śmiech*).

Moment, co to jest? Aha! A to są te boys bandy z Korei Południowej?

Piotrek: Tak. Jak już coś by miało być z muzyki k-pop, to śpiewające młode Koreanki...

Jola: Też nie mam ulubionej muzyki. W czasie nauki słucham muzyki klasycznej. Najlepiej mi się uczy przy Chopinie.

Z kim ze sławnych żyjących lub nieżyjących chcielibyście się spotkać?

Piotrek: Jenną Ortegą (przyp. red. – odtwórczyni tytułowej roli serialu *Wednesday*).

Jola: Czyli podobał ci się film *Wednesday*?

Piotrek: Niezły był ten serial, ale nie wciąż gnał mnie specjalnie. Spodobała mi się po prostu ta aktorka. Widziałem ją też w innych filmach, na przykład w *Krzyku*.

Jola: Mnie nikt nie przychodzi do głowy.

Gdybyście złapali złotą rybkę, jakie byście mieli do niej trzy życzenia?

Piotrek: Pierwsze życzenie byłoby takie, żeby moja rodzina była zdrowa. Drugie by było takie, żeby spełniły się moje marze-

nia. A trzecie życzenie oddałbym mojej siostrze.

Jola: Ja nie chcę odpowiadać po Piotрку! (*śmiech*)

No niestety. Piotrek nas nokautuje...

Jola: Myślę, że każdy chce, żeby wszyscy byli zdrowi, więc to by było pierwsze życzenie. Drugie życzenie wykorzystałabym na podróż w góry wysokie.

Które?

Jola: Na razie wystarczy mi Kirgistan. Ale kiedyś chciałabym pojechać w Himalaje. Na początek wystarczyłyby mi sześciotyśnięczniki, potem siedmiotysięczniki, a gdyby nadarzył się jakiś ośmiotysięcznik, to byłoby już w ogóle super. Człowiek niestety potrzebuje na to pieniędzy. Jedno życzenie dotyczyłoby więc moich podróży. Trzecie życzenie by było takie, żebym była szczęśliwa.

Czy macie jakiś wzór do naśladowania? I może niech najpierw odpowie Jola, żeby miała szansę.

Jola: Nie mam żadnego wzoru, który chciałabym naśladować. Chcę być po prostu sobą. Nie chcę być, jak ktoś inny. Chcę się wyróżniać. Nie chodzi o to, żeby być





w centrum uwagi, ale nie chcę iść ślepo za innymi.

Piotrek: Jest ktoś taki, ale to jest moja tajemnica.

Jak wyglądałby wasz idealny dzień?

Piotrek: Wstałbym i byłaby pogoda, jaką lubię, czyli niezbyt słoneczna. Choć jestem pozytywnym człowiekiem, to lubię, gdy jest deszczowo i mgliście... Spędzam ten dzień z moją rodziną. Potem trochę programuję. Następnie bawię się z moim psem, a na końcu byłoby idealnie, gdybym właśnie pojechał z rodziną do Danii albo do Islandii, żeby pozwiedzać te kraje.

Jola: Budzę się na północy Norwegii. Moim oczom ukazuje się widok zasypanej śniegiem krainy. Jest minus piętnaście stopni. Ubieram się. Zakładam narty ski-turowe, wyjeżdżam na jakąś górę, wypijam tam kawę i zjeżam. Potem idę do domu. Odpoczywam chwilę i wychodzę oglądać zorzę polarną.

Czyli łączy was jeszcze zamiłowanie do podróży i dalekiej Północy. A gdybyście byli bajecznie bogaci, na co wydalibyście pieniądze?

Piotrek: Gdybym tych pieniędzy miał bardzo dużo, pomógłbym na przykład komuś ciężko choremu, żeby miał szansę wyzdrowieć. I wsparłbym jakąś sprawdzoną fundację.



Jola: A ja znowu będę samolubna (*śmiech*). Wydałabym pieniądze na podróż. Potem wybudowałabym dom. A dopiero na końcu może bym jakąś fundację wspomogła.

Na przykład Stowarzyszenie *Nigdy nie jesteś sam?*

Jola: Dokładnie (*śmiech*).

Jakie macie najpiękniejsze wspomnienie? Jola z dzieciństwa, a Piotrek w ogóle.

Piotrek: Ja mam bardzo dużo, nie mogę wybrać jednego.

Jola: Chyba najmilsze wspomnienie mam z wakacji rowerowych z rodzicami. Gotowanie na butli gazowej. Pamiętam ten charakterystyczny zapach zupy z proszku. Jeździliśmy pod namioty. Byliśmy w Holandii, w Szwecji, we Francji, w Austrii.

Jolu, jesteś studentką trzeciego roku fizjoterapii, jakie masz plany na najbliższe miesiące i lata?

Jola: Na najbliższy miesiąc mam plan, żeby zacząć pisać pracę licencjacką. Potem muszę się uczyć do egzaminów końcowych, a później na egzaminy wstępne na studia magisterskie. W następnych dwóch latach chcę skończyć studia.



Czyli chcesz pracować jako fizjoterapeuta. Chciałabyś pracować z jakąś konkretną grupą ludzi?

Jola: Wiem na pewno, że nie chcę pracować ze sportowcami (*śmiech*), bo wiem, że sportowcy są trudni. Nawet jak im powiem, że muszą odpocząć, to oni nie będą tego robić. Fizjoterapia sportowców polega na tym, żeby ten sportowiec miał jak najlepsze wyniki. Więc „pomagałabym” im niszczyć sobie zdrowie. Może będę pracować z dziećmi lub pacjentami neurologicznymi.

A ty, Piotrek, kim chciałbyś być, jak dorośniesz?

Piotrek: Chciałbym być programistą, programować gry komputerowe. W wolnym chwilkach chciałbym trenować hokej na lodzie siedząco, tak jak robię to teraz. Chciałabym studiować przez jakiś czas w Danii, bo bardzo lubię skandynawskie klimaty. Podobno są tam bardzo mili ludzie. Kraj jest bardzo ładny i ma ciekawą historię. Pochodzi stamtąd bardzo dużo rzeczy, na przykład powstała tam najśłynniejsza zabawka świata, czyli lego. Duńczycy są też bardzo ekologiczni. Stamtąd też między innymi pochodzili Wikingowie.

Jolu, byłaś w kadrze narodowej Czech. Trenowałaś narciarstwo biegowe. Dlaczego zrezygnowałaś ze sportu wycynowego?

Jola: W podstawówce i szkole średniej to była frajda, bo człowiek wiedział, że nie musi tego traktować na poważnie. Na studiach nie było łatwo trenować, bo studiuje w Ołomuńcu, a tam nie ma śniegu. Musiałam przyjeżdżać do domu na treningi. Zaczęłam sobie zadawać pytanie, czy warto to robić? Chyba już inaczej zaczęłam myśleć o swoim życiu. Już się nauczyłam jeździć na biegówkach, zdobyłam, co chciałam, i to wystarczyło. Potem byłam jeszcze chora, więc to był już znak, że trzeba to zakończyć.

Piotrek, a jak to się stało, że zaczęłaś trenować hokej na lodzie?

Piotrek: Dwa lata temu rodzice zapisali mnie na obóz sportowy w Trzyńcu dla nie-



pełnosprawnych dzieci. Trenerzy mnie chwalili, bo od początku potrafiłem utrzymywać równowagę na *sledżu*, czyli tych sankach dostosowanych do jazdy na siedząco. Na początku kilka razy spadłem, a potem już bez problemu utrzymywałem równowagę. Spodobało mi się. Chciałbym też wypróbować jazdę na nartach.

Jak już jesteśmy przy sporcie, to powiedzcie, co ten sport wam daje?

Piotrek: Podoba mi się, że jest to hokej tylko dla niepełnosprawnych, czyli dla ludzi, którzy mają podobne problemy jak

ja. Czuję się tam dobrze, bo nie wyróżniam się w żaden sposób.

Czyli nikt się tam na ciebie nie patrzy, nie ocenia i możesz pokazać na co cię stać?

Piotrek: Dokładnie.

Jola: Sport uczy silnej woli. Człowiek wie, że musi coś przewycieżyć, że będzie to bolało. Osoby trenujące jakiś sport, są przygotowane na to, że w życiu również raz jest się na górze, a raz w dole, że nie zawsze wszystko musi iść dobrze. W czasie ruchu można się też odreagować. Nie myśli się o niczym.

Piotrek: Człowiek, trenując, nie myśli za wiele. Po prostu się gra.

Jola: Dokładnie. Jest się tu i teraz i nic innego się nie liczy. Sport uczy jeszcze dyscypliny w życiu.

Czy zrobiliście kiedyś coś, z czego jesteście naprawdę dumni?

Piotrek: Jestem dumny z tego powodu, że trenuję hokej na siedząco, że mam dużo zainteresowań, że uczę się programowania.

Jola: Najbardziej dumna jestem z tego, że przeszłam ten Główny Szlak Beskidzki, że obiecałam sobie, że to zrobię i zrobiłam. Jestem z siebie dumna, że każdego dnia potrafiłam wstać i iść dalej, choć mi się nie chciało.



W jakim momencie dowiedzieliście się, że jesteście nominowani do plebiscytu *Tacy jesteście*?

Piotrek: Mama mi powiedziała, że jestem nominowany. Byłem zdziwiony. To, że wygrałem, jest też zasługą tej osoby, która mnie nominowała. Nie wiem, kto to był, ale dziękuję mu, bo gdyby nie on, to bym nie miał szans wygrać. Dziękuję też wszystkim, którzy na mnie głosowali.

Jola: To była śmieszna sytuacja, bo pani z tą informacją zadzwoniła do mnie, gdy akurat byłem na wykładzie, a nie wyłączyłam dźwięku w telefonie. Było cicho jak makiem zasiał, a tu nagle dzwoni mój telefon. Potem pani zadzwoniła jeszcze raz, akurat szłam przez miasto i był hałas, więc nie mogłyśmy się dogadać. Zanim dotarł do mnie ten fakt, trochę to trwało. Było to zaskoczenie.

Piotrek, jak świat miałby wyglądać, żeby tobie jako osobie poruszającej się na wózku, lepiej się żyło? Na przykład, jak by miała wyglądać szkoła.

Piotrek: Szkoła miałaby być dostosowana do osób niepełnosprawnych. Powinna być winda, żebym czuł się dobrze. Chciałbym móc się poruszać swobodnie wszędzie, lepiej niż teraz. Chciałbym być samodzielny. Chciałbym też, żeby więcej rzeczy było dostosowanych do niepełnosprawnych, żebym nie musiał nikogo o nic prosić.

Czyli nie jest fajnie, gdy trzeba ciągle o coś prosić?

Piotrek: Tak, bo tego proszenia jest już potem za dużo. Gdy widzę, jak ktoś tak po prostu otwiera sobie drzwi, to sobie myślę, że też chciałbym sobie normalnie tam pójść i móc te drzwi otworzyć. Chcę być samodzielny. Nie jest to fajne, ciągle prosić kogoś, dziękować mu za takie rzeczy, o które osoba pełnosprawna nie musi prosić. A do tego czasami zwyczajnie nie ma żadnej osoby w pobliżu, która mogłaby mi pomóc.

A jak się mają zachowywać ludzie, żeby ty czuł się komfortowo?

Piotrek: Są tacy ludzie, którzy rozumieją to, że poruszam się na wózku. Chciałbym, żeby ludzie nie gapili się na mnie zbyt długo. Ja się na nich nie gapię, to dla-



go oni mieliby to robić? Nie jestem sławną osobą, żeby ktoś miał się na mnie patrzeć. Nie lubię też, jak ludzie na mnie patrzą, jakby pierwszy raz w życiu widzieli osobę niepełnosprawną. Nie raz mam ochotę zwrócić uwagę takiej osobie.

Na koniec powiedzcie mi, jak byście przekonali człowieka, który jest typem „kanapowca”, do uprawiania sportu?

Piotrek: To zależy od tego, co ta osoba lubi. Próbowałbym go jakoś zmotywować, żeby zaczął uprawiać sport dla kogoś, albo

dla siebie. Może miałby zacząć najpierw od małych dawek ćwiczeń? Ale jak ktoś naprawdę nie chce się ruszać, to nie da się go zmusić.

Jola: Myślę, że zawsze można znaleźć jakąś formę ruchu, która będzie pasować danemu człowiekowi. Trzeba więc znaleźć to, co on polubi. To najważniejsze. Nie będę kłamać, teraz też jestem takim kanapowcem (*śmiech*). Po tych świętach człowiek jest jakiś leniwy... Ale wracając do tematu, najlepiej uprawiać sport z kimś innym, najlepiej z osobą, która mi się podoba... Wtedy motywacja wzrasta.



JEŚLI NIE MASZ POWOŁANIA, TO STARAJ SIĘ ZOSTAĆ POWOŁANY

TEKST: IZABELA WACLAWKOVÁ / ZDJĘCIA: ARCHIWUM FILIPA KOHUTA

Filip Kohut urodził się w Mostach koło Jabłonkowa. Już od najmłodszych lat zasłuchany w wezwania swojego serca postanowił podążać w stronę kapłaństwa. Po zdaniu matury w Polskim Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego wyjechał do seminarium duchownego w Ołomuńcu, obecnie jest studentem czwartego roku wydziału teologicznego.

Co lub kto był dla Ciebie bodźcem do podjęcia studiów teologicznych?

Na pierwszym miejscu chyba Jezus, relacja z nim, która z czasem się rozwijała. Szukałem, gdzie jest moje miejsce na ziemi, do czego się nadaję. Pytałem Pana Boga, jakie ma ze mną plany, obserwowałem też swoje dary, zdolności, charyzmaty i po prostu tym wszystkim się posłużyłem.

Kiedy po raz pierwszy o tym pomyślałeś?

Zastanawiałem się nad tym już bardzo długo. Z opowiadań wiem, że kiedy miałem



pięć lat, podobno powiedziałem w domu, że będę księdzem. Wtedy ojciec odpowiedział, że to nie jest takie proste, że muszę poczuć jakieś powołanie od Boga, więc poszedłem w inną stronę. – *Kaj idziesz?* – zapytał mnie ojciec. A ja mu odpowiedziałem: – *Czakać, kiedy Pan Bóg mnie powoła.* Teraz nie przypisuję temu zbyt wielkiego znaczenia, ale potwierdza to, że zawsze było we mnie takie pragnienie. Jak mówi święty Augustyn: – *Jeśli nie masz powołania, to staraj się zostać powołany.*

Czy podjęcie tej decyzji było dla Ciebie trudne?

Nie, wręcz przeciwnie, miałem w sercu pokój. Oczywiście, opinie innych ludzi na temat mojego wyboru były różne. Może nie było dla mnie łatwe, wyjaśnić innym, dlaczego tak zdecydowałem. Niektórzy myśleli, że jest ze mną coś nie w porządku, pojawiły się nawet pytania, czy może kobiety mi się nie podobają, inne osoby były zdania, że jest mnie szkoda, bo byłbym dobrym ojcem w życiu rodzinnym. Czyli pod tym względem sytuacja w czasie podjęcia przeze mnie decyzji nie była przyjemna. Z drugiej strony pojawiły się też pozytywne reakcje i to również u ludzi niewierzących.

Studiujesz teologię czwarty rok, który okres był dla Ciebie najtrudniejszy?

Akurat ten aktualny semestr był dla mnie najtrudniejszym, bo mieliśmy bardzo dużo zajęć. W sumie spędzałem cały dzień w szkole. Chodziłem na uczelnię na dziewiątą i wracałem gdzieś o osiemnastej trzydzieści. Przy tym nie jest tak, że wstanę z łóżka przed dziewiątą i idę prosto na zajęcia, ale już od szóstej rano mamy program w seminarium, a wieczorem po zajęciach także. I do tego przyjmowałem w tym semestrze kandydaturę.

Co to jest ta kandydatura?

Kandydatura wygląda tak, że do seminarium przyjeżdża biskup i potwierdza naszą decyzję ze strony kościoła. Jest to taka ceremonia podczas mszy świętej, w której odpowiadamy na trzy pytania, czy jesteśmy zdecydowani służyć kościołowi i iść w śladach Jezusa. Często się to porównuje do zaręczyn, a ślubem następnie staje się święcenie.

Jak wyglądają studia teologii?

Wszystko opiera się na czterech walorach. Formacja duchowa, ludzka i pastoralna odbywa się w seminarium, a formacja intelektualna na Wydziale Teologicznym. Formacja intelektualna wygląda jak normalne życie każdego studenta, są wykłady, ćwiczenia, seminaria i potem okres egzaminacyjny. Do tego jest dopasowane życie w seminarium, przeznaczone dla tych, którzy przygotowują się do kapłaństwa. W seminarium człowiek indywidualnie pogłębia relacje z Bogiem.

Jaka jest codzienność w seminarium?

Nasz dzień wygląda tak, że wstajemy rano i zaczynamy poranną modlitwą Kościoła, potem jest rozważanie, msza święta i śniadanie. Tym kończy się czas w tym budynku i zaczynają się zajęcia na Wydziale Teologicznym. Spotykamy się ponownie podczas południowej modlitwy, zjadamy wspólnie obiad w seminarium, a następnie każdy po swojej ścieżce kontynuuje studia, lub ma według planu zajęć czas wolny. Wieczorem znowu się spotykamy i mamy nieszpory, kolację i bądź wspólną pracę, by w budynku wszystko funkcjonowało, albo zajęcia sportowe. Zazwyczaj jeszcze o ósmej jest modlitwa wieczorna albo *puncta*, to jest takie wieczorne rozważanie ojca duchownego, który w seminarium opiekuje się nami. Kończymy dzień Sacrum Silentium, czyli świętą ciszą, która nas wprowadza do takiego cichego dialogu z Bogiem.

Spędzasz w seminarium również weekendy?

Niewiele. W każdej diecezji mamy własnych mentorów, czyli kapłanów, za który-

mi jeździmy w weekendy. W tym czasie angażujemy się w życie danej parafii albo wyjeżdżamy pomagać chorym, mamy zajęcia z młodzieżą – po prostu poznajemy praktyczne życie księdza.

Pod koniec roku 2023 zmienił się rektor seminarium, którym stał się ks. Vít Hlavica, czy odczułeś jako student jakieś zmiany?

To była bardzo ważna zmiana dla naszego seminarium, ponieważ rektor, czyli ksiądz, który odpowiada za naszą formację, pisze opinię do biskupów, i albo daje nam zielone światło do święceń, albo nie.

Do tej pory za wiele zmian nie odczułem, ponieważ ks. Vít Hlavica jest u nas dopiero od czterech miesięcy i sam się z wszystkim zaznajamia, ale myślę, że będą zmiany, że będzie z jego strony większa otwartość na wspólny dialog.

A co Ty sam zmieniłbyś w seminarium?

Osobiście troszeczkę inaczej ustawiłbym priorytety, co prawda już o tym z nowym rektorem rozmawiałem, ponieważ miałem wrażenie, że nadszedł czas poruszyć niektóre sprawy. Jeżeli mu tego nie powiemy my – klerycy, to nie będzie o tych problemach wiedział.

Powiedziałem mu, że jest tego wszystkiego za dużo. Oczywiście, na wydziale są zajęcia, które trzeba realizować, i to się nie zmieni, ale mi konkretnie odpowiadałaby większa ilość wolnego czasu w sobotę i niedzielę, żeby uzupełnić zaległości w szkole, lub przeczytać sobie jakąś lekturę.

Jeżeli mamy koncentrować się na formacji, to podobają mi się słowa papieża Francisz-



ka, który stwierdził, że seminarium to modlitwa, nauka i wspólnota. Na praktyczne sprawy funkcjonowania w parafiach mamy jeszcze czas.

Jak często wracasz do domu?

Do domu wracam niezbyt często, plus minus cztery razy w roku i na ferie letnie, podczas których mam różne praktyki w postaci obozów z młodzieżą, współpracy z moim mentorem czy praktyk w szpitalach, albo w jakimś hospicjum.

Gdzie w zeszłym roku wykonywałeś praktyki?

Miałem praktyki we wspólnocie *Wstań i chodź (Vstaň a chod')*, która troszczy się o osoby z fizycznymi upośledzeniami. Osoby te posługiwały się hasłem, że ich upośledzenia fizyczne uzdrawiają nasze duchowe. I to jest wielką prawdą, ponieważ widok osoby niezdolnej do poruszania lub poruszającej tylko jedną częścią ciała – na przykład głową – przynosi refleksję napętniającą szczęściem, wdzięcznością, spokojem, pokorą i Bogiem.

Sytuacja, kiedy nic nie można zrobić samemu, jest na ogół frustrująca, ale osoby, o których mówię, bardzo dobrze do tego podchodziły i jeszcze modliły się za nas. Po prostu nie są to ludzie myślący tylko o sobie, nie są w sobie zamknięci, ich rozmiar duchowy jest ogromny.

Mają studenci teologii możliwość wyjazdów Erasmus+? Chciałbyś gdzieś wyjechać?

Tak, jak najbardziej. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, jest o wiele więcej możliwości. Kiedyś biskup wysłał jednego z dwustu studentów do Rzymu, bo widział w nim zapał do nauki. W dzisiejszych czasach przeszkody, które dotyczą studentów kapłaństwa, są minimalne. Trzeba sobie wybrać miejsce, w którym oczywiście jest seminarium, i uzyskać zgodę biskupa na wyjazd. Nasz biskup ostrawsko-opawski jest otwarty na zagraniczne wyjazdy, ale nie wszyscy biskupi z różnych powodów tak mają.

Jaki powinien być według ciebie ksiądz?

Normalny mężczyzna ze zdrowymi motywacjami. Największym problemem ogólnie

– w społeczeństwie – jest moim zdaniem kryzys męskości, i to się później odbija na kapłanach. Ksiądz nie powinien być arogancki, egocentryczny, a służba ludziom powinna przynosić mu radość. Szczęśliwy ksiądz to taki, który działa z Chrystusem i w Chrystusie, bez tego byłby nieszczęśliwym samotnym kawalerem bez żony i dzieci w jakiejś zamrożonej zniszczonej farze, gdzie na niedzielne nabożeństwo przychodzi garstka ludzi. I co z takiego życia? Kapłaństwo bez Chrystusa nie ma sensu.

Jest w Czechach wystarczająca liczba kleryków?

Aktualnie mamy w Czechach około czterdziestu kleryków. Trudno powiedzieć, co byłoby wystarczającą ilością. Generalnie księży jest mało, jest to trochę niezręczna sytuacja, ponieważ teraz już księża nie mają po jednej parafii, ale po sześć, siedem parafii, którymi muszą się opiekować. Z drugiej strony są parafie, gdzie ksiądz odprawia niedzielną mszę świętą dla sześciu ludzi. Oczywiście musi się zajmować sprawami administracyjnymi, trzeba się zatroszczyć o duże, puste, rozpadające się budynki. Z tego punktu widzenia sytuacja jest niezbyt szczęśliwa.

W każdym razie myślę, że jest nas tyle, ile powinno być. Taka jest sytuacja u nas w Czechach, ale na przykład w Ameryce Łacińskiej jest co roku wyświęconych około czterdziestu kleryków w jednej diecezji, i to jest niesamowita liczba. Kościół jest globalny, to nie jest jakaś firma czy organizacja w jednym kraju. Często widzimy tylko to, co mamy, ale w świecie jest sytuacja inna. Na przykład w Ameryce Północnej czy Stanach Zjednoczonych katolicyzm nabiera nowego życia i jest, ogólnie rzecz biorąc, bardzo dobrze.

Czy chrześcijaństwo powinno iść z duchem czasu?

Oczywiście, że chrześcijaństwo powinno iść z duchem czasu, ponieważ chrześcijaństwo jest żywe, ale musimy wiedzieć, co oznacza określenie „duch czasu”. Chrześcijaństwo nie powinno się dostosowywać do wszystkiego, co jest w danym momencie modne, ale jak najbardziej miałoby zahaczać o tematy, które są w danym okresie ważne do poruszania. Papież Franciszek jest bardzo specyficzny w tym, jak potrafi posługiwać się duchowością jezuicką. W rzeczy samej



jest jezuitą, a odczytywanie znaków czasu, rozeznanie, czym trzeba się w danym momencie zajmować i jak do tego podchodzić, jest także ich zadaniem.

Dużo młodych odchodzi od wiary z powodu księży, dlaczego?

Jest bardzo bolesne, kiedy ksiądz da takie świadectwo funkcjonowania życia, że ktoś na podstawie jego przykładu zdecyduje opuścić Kościół. Jest to pożałowania godne, ale niestety się dzieje. Z drugiej strony zapytałbym, na jakim fundamencie stoi wiara ludzi, którzy odchodzą. Przecież wciąż jest mnóstwo dobrych kapłanów. Sam spotkałem się z kilkoma niezbyt dobrymi księżmi, tylko że moja wiara nie stoi na kapłanach.

Kapłan jest pośrednikiem tego, co mi Chrystus daje, a to są sakramenty. Żyjemy w świecie otwartym, jeżeli nie pasuje mi jeden ksiądz, to idę do innej parafii, gdzie jest inny. Przede wszystkim jednak, kiedy naprawdę szukam Boga, to go naprawdę znajdę.

Jakie byłoby Twoje przesłanie na rok 2024 dla osób próbujących odnaleźć Boga?

Każdemu życzę by poczuł Boga w swoim sercu. Wiem, jak może się to komuś wydawać trudne. Często czekamy na to, by zmieniło się coś się coś w naszym życiu, mamy uczucie, że dopiero potem Bóg da nam się poznać. To nieprawda. Jezus stoi za drzwiami naszych serc i puka. Nie wejdzcie, dopóki go nie wpuścimy. A może warto wpuścić Go od zaraz, by właśnie On pomógł nam z tym wszystkim, co jest dla nas trudne czy krępujące. By pomógł nam z tym, z czym walczymy. Właśnie teraz, właśnie w tym miejscu, w którym jesteśmy, w tej sytuacji, w jakiej żyjemy. Bo mam wrażenie, że Boga często szukamy za daleko.



KONCERT ŚWIĄTECZNY

W OBIEKTYWIE RENATY STASZOWSKIEJ
22 GRUDNIA 2023, DOM KULTURY TRISIA W TRZYŃCU







KLUB MŁODYCH MK PZKO W LESZNEJ DOLNEJ

PZKO TO OD ZAWSZE MÓJ DRUGI DOM



TEKST: BEATA INDI TYRNA / ZDJĘCIA: ARCHIWUM MK PZKO

Działalność Klubu Młodych przy Miejscowym Kole PZKO w Lesznej Dolnej została zreaktywowana przed ośmiu laty. O Klubie rozmawiamy z Dorotą Bartnicką – jego prezesem i inicjatorką reaktywacji.

Od jak dawna działa Klub Młodych przy waszym Kole?

Minęło osiem lat od wznowienia działalności. Kiedyś był tu Klub Młodych. Działali w nim moi dziadkowie, moi rodzice, a później była przerwa. Dopiero kiedy mój rocznik poszedł do szkoły średniej, wznowiliśmy tę działalność.

Nie mieliście zatem okazji obserwować, jak pracowali wasi poprzednicy...

No, nie. Natomiast jest bardzo wiele kronik. Są u mojego dziadka, więc przynajmniej w ten sposób miałam możliwość zapoznania się z działalnością poprzedników.

Pani dziadek to Tadeusz Szkucik, były dyrektor polskiej szkoły w Trzyńcu i były prezes MK PZKO. Pochodzi Pani z rodziny mocno zaangażowanej w pracę PZKO.

Faktycznie PZKO to od zawsze mój drugi dom. Od dziecka uczestniczyłam w różnych imprezach. W Domu PZKO znam każdy kąt.

Co zainspirowało was, by wznowić działalność Klubu Młodych?

Mamy miejsce do realizacji pomysłów, miejsce, w którym możemy się rozwijać i spędzać razem czas. Zaczęło się od tego, że nasze Koło PZKO organizowało imprezę *Z książką pod poduszką* i my zaczęliśmy pomagać w jej realizacji. Pomagaliśmy przygotowywać program, czytaliśmy, pilnowaliśmy dzieci.

A więc jako młodzież pomagaliście w kole organizować imprezy dla dzieci.

I stwierdziliśmy, że działalność w kole to fajna rzecz, więc postanowiliśmy formalnie zreaktywować Klub Młodych.



Ilu członków liczy klub?

Na początku była nas piątka. Był to mój rocznik, który z podstawówki poszedł do szkoły średniej. Później dołączali do nas młodsi, którzy przechodzili z podstawówki do szkół średnich. Tak powoli, powoli, aż powstała nas taka grupka mniej więcej około dwudziestu osób.



Jak wygląda działalność waszego klubu?

Obecnie nie udaje nam się spotykać tak, jak wcześniej. Wszyscy porozjeżdżaliśmy się do szkół wyższych. Mamy też dużo innych obowiązków.

Nie macie więc regularnych spotkań?

Nie. I szczerze mówiąc, wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach już mało komu taka organizacja pracy się udaje. U nas w klubie są nie tylko osoby z Lesznej. Mamy dwudziestkę formalnych członków. A do tego jest drugie tyle sympatyków, którzy przychodzą na nasze wydarzenia, ale nie są członkami. Jak organizujemy obozy czy inne wydarzenia dla dzieci, to wiemy, że oni mają chęć i nam pomogą.

Na czym więc polega wasza działalność?

Taką naszą sztandarową imprezą, w którą wkładamy naprawdę bardzo dużo czasu i serca, są letnie obozy dla dzieci. Przygotowujemy je naprawdę cały rok i wyczekujemy tych dwóch tygodni, które są zawsze bardzo intensywne, ale też bardzo satysfakcjonujące. Moja babcia, Renata Szku-

cik, czyli prezes Koła PZKO, wymyśliła tę imprezę. Na początku zajmowali się tym dorośli z Koła, z Klubu Kobiet. My pomagaliśmy. Uczyliśmy się przy tym zasad organizacji, odpowiedzialności, tych wszystkich niezbędnych, ważnych technicznych rzeczy. W tej chwili już powoli przejmujemy pałeczkę. Obecnie takim głównym dowodzącym tych obozów jest moja siostra, Agata Bartnicka. Studiuje pedagogikę i bardzo lubi pracę z dziećmi. Zresztą wszyscy to lubimy i mamy przy tym dużą frajdę. No i część tych dzieci, które przychodziły na pierwsze obozy, już dorasta. Już są w tym wieku, w którym my byliśmy na początku i historia zatoczyła pewne koło, bo teraz oni są pomocnikami. I teraz my możemy ich uczyć tego, czego nas nauczyli starsi.

Jednym słowem możecie być spokojni o to, że będziecie mieli komu przekazać pałeczkę organizacji, gdy już przestaniecie być młodzieżą i pochłoną was inne obowiązki.

Tak. Myślę, że w kwestii obozów na pewno będziemy mieli kontynuatorów tej działalności. Oni widzieli, że stworzyliśmy fajną

imprezę, która im się bardzo podobała i już widać, że będą chcieli to kontynuować. Jest to bardzo fajne. I oczywiście jesteśmy na tę pomoc bardzo otwarci.

Obozy to coś, co młodzież z waszego Klubu Młodych robi dla dzieci. A co robicie sami dla siebie, w sensie młodzież dla młodzieży?

Mamy na przykład warsztaty. Spotykamy się czasami, jak mamy jakiś fajny pomysł. Z dziewczynami na przykład miałyśmy warsztaty tworzenia biżuterii. Jest pomysł, którego niestety nie udało się zrealizować w zeszłym roku, żeby wznowić imprezę *Puchar Lata*, która kiedyś była bardzo popularna w naszym Kole. Jest to turniej piłki nożnej organizowany dla innych Klubów Młodych albo jakichkolwiek drużyn, nie muszą być akurat członkami Klubu Młodych. Mamy chłopaków, którzy bardzo lubią sport i chcieliby powrócić do tej tradycji. Ja z dzieciństwa pamiętam te turnieje. Później jakoś nie były kontynuowane. Chcielibyśmy tę tradycję wznowić, bo jednak sport to jest coś, co łączy ludzi i myślę, że to mogłoby być naprawdę fajne.





Mamy też na wiosnę imprezę dla młodzieży *Labirynt*. Jest to impreza, którą my jako Klub Młodych, organizujemy dla uczniów wyższego stopnia. Staramy się w ten sposób niejako pokazać PZKO starszym dzieciom i zachęcić, by później dołączyły do PZKO. Mogą się dowiedzieć, jakie są możliwości, przygotowujemy różne quizy, gry integracyjne. Zawsze się tam świetnie bawimy. No bo przecież chcemy pokazać, że PZKO jest otwarte i że jest dla każdego, że nie jest to zamknięta grupka ludzi, działa sobie sama dla siebie. Mamy piękny Dom PZKO, w którym można wiele ciekawych rzeczy organizować. Później rozdajemy dziewiątoklasistom zgłoszenia do PZKO.

A więc w waszym Kole akcje naborową organizuje Klub Młodych?

Tak. Jednak nie nazwałabym tego akcją naborową, tylko pokazaniem tego, czym

tak naprawdę PZKO jest i jakie daje możliwości. Niech widzą, że jest tu też miejsce dla młodych ludzi, gdzie można się realizować, że gdy ma się jakieś pomysły, zainteresowania, to można przyjść do PZKO.

Czym w takim razie jest PZKO dla was – dla waszego pokolenia oraz dla pani jako prezesa Klubu Młodych?

Jesteśmy częścią PZKO. U nas w Domu PZKO jest taki napis na ścianie, że domu nie tworzą mury, ale ludzie. Myślę, że jest to bardzo trafne. Faktycznie moglibyśmy się schodzić gdziekolwiek. Ale ja odczuwam bardzo dużą możliwość realizacji wszelkich pomysłów właśnie w oparciu o PZKO i to zaplecze, jakie daje nam Dom PZKO. W dzisiejszych czasach wszystkiego jest bardzo dużo. A pomimo tego ja na przykład, teraz kiedy jestem na studiach w Krakowie, cieszę się bardzo, że mam



możliwość wracać na Zaolzie i mam możliwość spotkać się ze swoimi znajomymi. I że nie są to tylko spotkania towarzyskie, ale też mogą być twórcze, jest miejsce do realizacji wszelkich pomysłów pozwalających się rozwijać. Sama na przykład bardzo dużo nauczyłam się właśnie podczas organizacji wspomnianych obozów. Nasze PZKO jest bardzo otwarte. Jak ktoś ma jakiś pomysł, to raczej nie spotka się z odmową, wręcz przeciwnie, może liczyć na wsparcie.

Z jakimi przykładowymi pomysłami ktoś z waszego grona przyszedł? Zostały one zrealizowane?

Przykładowo, kiedy mieliśmy szkolne kursy tańca, to stwierdziliśmy, że chcielibyśmy jeszcze sobie poćwiczyć i zrobiliśmy dodatkowe własne warsztaty taneczne. Były też różne inne warsztaty, jak te robienia biżuterii. Teraz szykujemy wycieczkę.



LEON BILIŃSKI

NIEZNANY MAŻ STANU

CZ. 2

TEKST: MAKSYMILIAN STAŃCZAK

W grudniowym wydaniu „Zwrotu” ukazał się pierwszy odcinek biografii Leona Bilińskiego, zasłużonego polskiego polityka, ekonomisty i bankiera XIX i XX w. Poniżej prezentujemy ciąg dalszy jego losów, gdy kariera polityczna Bilińskiego, po tym jak znalazła się na zakręcie, gdy w 1897 r. upadł „polski” rząd austriacki Kazimierza Badeniego, w którym Biliński pełnił rolę ministra finansów, powoli zaczyna wychodzić na prostą.

GUBERNATORSTWO BANKU AUSTRO-WĘGIERSKIEGO

Na początku 1900 r. desygnowany wówczas na premiera Ernest von Koerber przystąpił do montowania nowego gabinetu. Biliński pragnął wtedy powrócić na szczyty władzy. Jego kandydatura do Rady Ministrów w kularach traktowana była bardzo poważnie. Miał zaufanie i uznanie cesarza Franciszka Józefa, a premier Koerber widział go w roli ministra bez teki (dla Galicji) i wicepremiera zarazem. Jednak, jak to często bywało w rozdrobnionym parlamencie austriackim, szef rządu nie mógł dobrać sobie ministrów tylko i wyłącznie według własnego przekonania, lecz musiał także liczyć się ze zdaniem przywódców partyjnych, którzy godząc się na wejście w skład koalicji rządzącej, jednocześnie stawiali ostre warunki. Tym razem kandydaturę Bilińskiego na ministra utracili nieprzychylni mu, polityczni kontrahenci Koerbera. Ostatecznie spekulacje nad ministerium dla Bilińskiego ucięła kolejna w jego karierze „propozycja nie do odrzucenia”. Tym razem wystosował ją sam cesarz, choć podobno pod wpływem tych polityków, którzy chcieli wykluczyć Bilińskiego z formowanego gabinetu. Franciszek Józef zaproponował bowiem Bilińskiemu objęcie stanowiska gubernatora Banku Austriacko-Węgierskiego, argumentując, że jako twórca jego nowego statutu jest najodpowiedniejszą osobą do wprowadzenia go w życie.

Reformę struktury organizacyjnej banku emisyjnego Biliński przygotował jeszcze jako minister skarbu w rządzie Badeniego. Polegała ona na tzw. organizacji parytetycznej, czyli równorzędności Austrii i Węgier w procesie kreowania polityki pieniężnej i kredytowej¹⁾ banku poprzez równouprawnienie dwóch dyrekcji głównych (w Wiedniu i Budapeszcie) oraz na parytecie dla obywateli obydwóch krajów w dostę-

pie do stanowisk. Każda posada urzędnicza występowała podwójnie, tj. po jednym etacie w dyrekcji wiedeńskiej i budapesztańskiej – pojedynczo występowały tylko dwie najważniejsze posady: gubernatora i sekretarza generalnego, lecz kiedy gubernator był obywatelem Austrii, to sekretarzem generalnym musiał być mianowany Węgier i na odwrót. Jak wspominał Biliński: *Służyliśmy tak sumiennie Austrii i Węgrom,*



Przygotowana i wprowadzona w życie przez Leona Bilińskiego reforma Banku Austriacko-Węgierskiego zakładała powstanie drugiej, równorzędnej dyrekcji tej instytucji w Budapeszcie. Budowę nowego gmachu zleconą przez Bilińskiego ukończono w 1905 roku.

1) Bank Austriacko-Węgierski był instytucją niespotykaną współcześnie, specyficzną dla epoki. Z jednej strony pełnił funkcję urzędu państwowego odpowiedzialnego za kreowanie polityki pieniężnej państwa, w tym m.in. sterowanie emisją pieniądza (współcześnie zajmują się tym banki centralne, np. Narodowy Bank Polski), z drugiej strony był spółką akcyjną notowaną na giełdach, działająca także jako komercyjny bank detaliczny, oferujący kredyty klientom indywidualnym; przedsiębiorcom, rolnikom itd. Co ciekawe, prawo monopolu na emisję pieniądza bank dzierżawił od państwa za określone umową ogromne sumy.



Banknot dwudziestokoronowy wyemitowany w 1907 r. Nad napisem „GOUVERNEUR” widnieje podpis Leona Bilińskiego. W dolnych rogach znajdują się napisy „dwadzieścia koron” we wszystkich językach używanych przez narody zamieszkujące Cesarstwo Austriackie.

ze bank – acz jednolity – uważany był w Austrii za austriacki, a w Węgrzech za węgierski. I to była moja duma największa, satysfakcja (...), że jako twórca nowego statutu mogłem światu dowieść jego zbawienności dla obu państw monarchii. Poza tym Biliński dbał także o równouprawnienie językowe pozostałych narodów zamieszkujących monarchię. Wewnętrznym językiem urzędowym był niemiecki, jednak ze stronami bank korespondował także w tzw. językach krajowych. Aby sprostać temu zadaniu posady w filiach obsadzano autochtonami, tzn. Polakami w Galicji, Czechami w Czechach, Chorwatami w Dalmacji itd.

Najbardziej widocznym dla przeciętnych obywateli c. k. monarchii działaniem Bilińskiego jako gubernatora banku było wyemitowanie papierowych koron. Nowe banknoty były bardzo niekonwencjonalne. De facto pozbawiono je rewersu, gdyż znajdowały się na nich dwa awersy: zgodnie z zasadą parytetu jedna strona banknotu była austriacka, a druga węgierska. Jako zwolennik równouprawnienia narodowego, Biliński popierał nadrukowanie na banknoty dodatkowych napisów oznaczających ich nominal słownie, we wszystkich językach używanych w cesarstwie, czyli po czesku, polsku, ukraińsku, włosku, słoweńsku, chorwacku, serbsku i rumuń-

sku. Oczywiście napisy te nie miały znaczenia praktycznego, gdyż nominal był przecież zapisany także cyframi, natomiast posiadały one wartość symboliczną: narody niegermańskie manifestowały w ten sposób swoją obecność w Austrii, swój współdziałanie w życiu państwa.

MIĘDZYNARODOWY SYSTEM WALUTOWY

Zdecydowanie „najtwardszym orzechem do zgryzienia” dla gubernatora Bilińskiego była realizacja postanowień reformy monetarnej z 1892 r. Jej istotą było zastąpienie guldena (znanego na Śląsku Cieszyńskim jako reński) nową walutą opartą na złocie, czyli pieniądzem kruszcowym, substytuowanym w obiegu krajowym wygodniejszymi w użyciu banknotami, wymiennymi na złoto zgodnie z sztywnym kursem, do czego zobligowany był ich emitent. W gospodarkach z walutą złotą panowała bardzo niewielka zmienność cen (w tym także kursów walut), co stwarzało poczucie stabilności, ułatwiało planowanie inwestycji, stosunki kredytowe i handel międzynarodowy. Z tego względu w latach 70. XIX stulecia Stany Zjednoczone i większość państw europejskich, jak kostki domina, po kolei przyjęły parytet złota.

Monarchia habsburska – w przeciwieństwie do swoich głównych partnerów handlowych posiadających stabilne, „złote” waluty – mierzyła się z nieustannymi wahaniami cen guldena austro-węgierskiego, które uniemożliwiały wiarygodną kalkulację w handlu zagranicznym. Przystąpienie Austro-Węgier do systemu waluty złotej stawało się nieodzowną koniecznością. W 1892 r. nad Dunajem oficjalnie przywrócono wymiennalność waluty na kruszec, poprzez wprowadzenie do obiegu nowej waluty złotej – koron. Bank Austriacko-Węgierski nie posiadał jednak wystarczających zasobów kruszcu, aby zdołać realnie utrzymać wymiennalność koron na złoto. Gubernator Biliński prowadził więc politykę trzymania w bankowych rezerwach obok złota, także dewiz, czyli zagranicznych walut wymiennalnych bezpośrednio na złoto. Zasoby cennego kruszcu oszczędzono, wypłat złotem dokonując jedynie w transakcjach wyrównujących bilans handlowy monarchii. Ten sposób zapewnienia pokrycia waluty został później nazwany systemem złoto-dewizowym.

Ekonomiczny „wynałazek” Bilińskiego spotkał się ze sporym zainteresowaniem także poza granicami monarchii habsburskiej. W 1908 r. zwrócił się do niego niemiecki ambasador z wystosowaną przez



Akwarela Rudolfa von Alta przedstawia narożnik Palais Ferstel. Wybudowany w 1860 r. gmach, architektonicznie inspirowany wczesnym renesansem florenckim, od 1878 r. pełnił funkcję siedziby głównej Banku Austriacko-Węgierskiego. To tutaj mieściło się reprezentacyjne biuro gubernatora Leona Bilińskiego. Obok ten sam budynek na współczesnej fotografii.

kanclerza pisemną prośbą o przyjęcie delegacji Banku Rzeszy, celem wyłożenia jej innowacyjnej „metody dewizowej”. Ogólnoświatową karierę system złoto-dewizowy zrobił jednak dopiero w latach I wojny światowej, a następnie już po rozpadzie Austro-Węgier, w okresie międzywojennym. Niedługo przed śmiercią Biliński napisał: *Polityka ta, polegająca na zastępowaniu w obrocie międzynarodowym złota dewizami (...) znaną dziś jest całemu światu; ale wówczas była moim pomysłem i monopolem, podziwianym a niepojętym w Europie*. Walutą złoto-dewizową był choćby wprowadzony do obiegu rok po śmierci Bilińskiego złoty polski, który zastąpił zdewaluowaną markę polską. Rozwinięta metoda Bilińskiego stała się podstawą międzynarodowego systemu walutowego w latach 1925–1931, znanego jako *gold exchange standard*.

SENATOR I ORĘDOWNIK PRZYJAŹNI Z UKRAINĄ

Osobom pełniącym wysoki urząd „wspólny” nie wypadało angażować się w czynne życie polityczne jednego z państw Monarchii, toteż gdy Biliński obejmował funkcję gubernatora Banku Austriacko-Węgierskiego natychmiast usunięto go z Izby Poselskiej

za pomocą klasycznego „kopniaka w górę”. Cesarz powołał go bowiem w skład Izby Panów (senatu), której rola, jako izby wyższej austriackiego parlamentu, była względem Izby Poselskiej drugoplanowa. Jako senator Biliński wykazał się swoim politycznym zmysłem i oddaniem monarchii, gdy w 1906 r. w Izbie Panów ugrzęzła usta-



Kost Łewycki – jeden z przywódców politycznych Ukraińców w Galicji Wschodniej. Brał udział w tajnych układach z Bilińskim.

wa mająca wprowadzić bezpośrednie, tajne i, co najważniejsze, równe wybory (kompromisowa, pośrednia reforma Badeniego sprzed dekady wprowadziła co prawda powszechność głosowania, lecz głosy najmniej zasobniejszych warstw były wciąż wielokrotnie „silniejsze” niż zwykłego hutnika czy chłopa). Wówczas, na gorącą prośbę Franciszka Józefa, Biliński zwołał „do siebie”, czyli do sali dyrekcyjnej Banku Austriacko-Węgierskiego, konferencję senatorów z Galicji. Po długiej dyskusji niemal wszystkich Polaków-senatorów udało się przekonać do tej wiekopomnej reformy. Odpowiednio „urobieni” przez prorządowych prominentów senatorowie z różnych zakątków Cesarstwa ostatecznie uchwalili ustawę, stawiając Austrię w szeregu państw demokratycznych obok Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Choć zdarzało się, jak w powyższym przykładzie, że Izba Panów odgrywała rolę jęczyczka u wagi, rozstrzygając o dalszych losach państwa, to jednak głównym ośrodkiem kształtowania polityki niezmiennie była Izba Poselska, a polityka, jak uważał Biliński, *to namiętność, ciągnąca polityków jak trunek pijaków!* Co ciekawe, tak usilnie popierana przez Bilińskiego reforma wyborcza niejako „przy okazji” zezwoliła senatorom na równoczesne pełnienie

mandatu poselskiego. Wobec tego już w 1907 r. z sukcesem wystartował w wyborach parlamentarnych. Dla zasiadającego kolejny raz w ławie poselskiej doświadczony polityka oraz wciąż urzędującego gubernatora Banku Austriacko-Węgierskiego, udział w różnorodnych komisjach parlamentarnych nie stanowił już tak wielkiej atrakcji jak w młodości. Pełen zapału angażował się natomiast w szczególnie bliski mu – z racji pochodzenia – problem napiętych stosunków polsko-ukraińskich.

Ciesząca się szeroką autonomią w ramach cesarstwa Galicja była na przełomie XIX i XX w. areną zaostrej się konfliktu narodowościowego, w gruncie rzeczy dość podobnego do sytuacji w Czechach. W roli uciemiężonych występował w nim Ukraińcy, natomiast postać kolektywnego despoty lub mówiąc delikatniej „narodu panującego” odgrywali Polacy, wyjątkowo demonizowani przez współczesną, ukraińską narrację historyczną, chętnie szafującą sloganami o nacjonalizmie. W rzeczywistości twardogłowi nacjonałiści, niechętni dostrzegać racji drugiej strony, byli po obydwóch stronach barykady. Leon Biliński – wytrawny mąż stanu z doświadczeniem z najwyższych szczebli władzy – był jednak politykiem „realnym”, człowiekiem kompromisu.

Wraz z ówczesnym prezesem Koła Polskiego, Stanisławem Głabińskim, wziął udział w kilkutygodniowych pertraktacjach z liderem politycznym galicyjskich Ukraińców, Kostem Łewyckim, późniejszym premierem Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Owocem tajnej konferencji, która – a jakby inaczej – odbyła się w gabinecie Bilińskiego w gmachu Banku Austriacko-Węgierskiego w Wiedniu, była umowa pomiędzy Kołem Polskim a Klubem Rusinów (partia Ukraińców w parlamencie austriackim). Składała się ona zasadniczo z dwóch grup postanowień: ustępstw Polaków wobec Ukraińców i ustępstw Ukraińców wobec Polaków. Polacy, jako naród panujący, mieli częściowo zrezygnować ze swojej uprzywilejowanej pozycji, za pomocą parytetów gwarantując Ukraińcom obsadzenie określonej części najważniejszych stanowisk w administracji, sądownictwie i władzach politycznych autonomicznego regionu, zmieniając dyskryminującą Ukraińców ordynację wyborczą, rozwijając ukraińskie szkolnictwo i zakładając ukraiński uniwersytet, hojniej dofinansowując z budżetu Galicji ukraińskie inicjatywy (np. budowa Teatru Ruskiego we Lwowie), a także zwiększając zakres możliwości posługiwania się językiem ukraińskim w sferze publicznej. Ze swojej strony ukraińscy politycy mieli przede wszystkim odciąć się od radykałów i porzu-

cić skrajne postulaty. Zobowiązywali się m.in. do uznania integralności terytorialnej Galicji, odżegnując się tym samym od pomysłów wydzielenia z niej prowincji ukraińskiej, a także do współpracy z Polakami w uspokajaniu nastrojów antypolskich wśród ludności ukraińskiej.

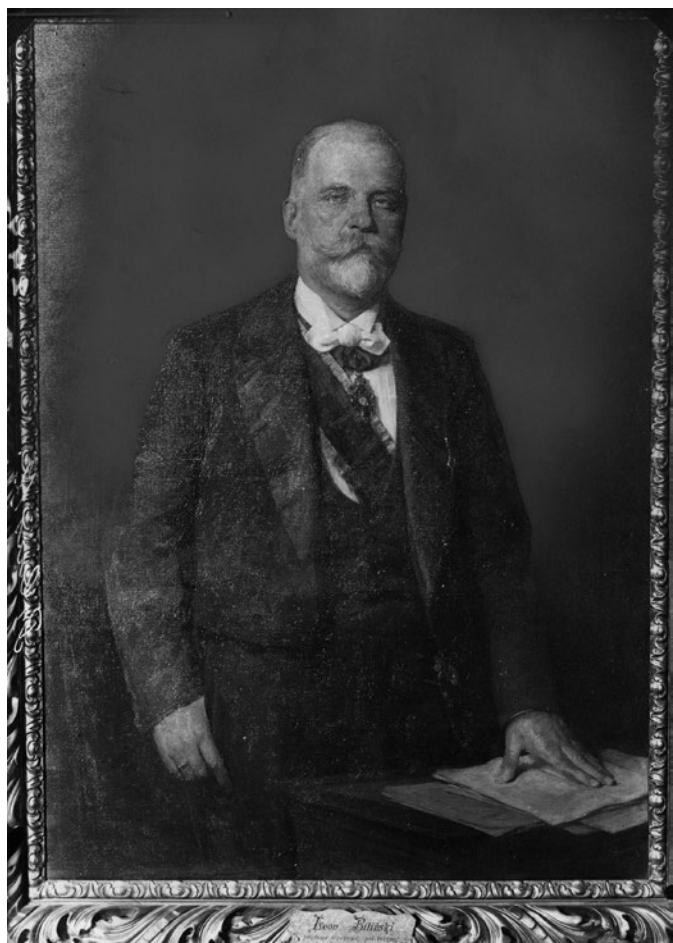
Niestety, choć projekt porozumienia wypracowano na najwyższym szczeblu, to jednak zabrakło woli politycznej wśród elit – przede wszystkim polskich – do wprowadzenia go w życie. Doznając gorzkiej refleksji, już u schyłku życia Biliński rozrząsał sprawę: *Ileż to trosk politycznych byłibyśmy sobie oszczędzili, gdybyśmy byli wtedy Ukraińców ugodę! A kto wie, czy krew niewinna przelana w 1918 r. przez nieszczęśliwych braci naszych we Lwowie (obłężenie Lwowa podczas wojny polsko-ukraińskiej), nie była konsekwencją błędu popełnionego w 1908 roku.* Mimo ostatecznego fiaska rokowań z 1908 r., aż do końca monarchii habsburskiej Biliński pozostawał gorącym orędownikiem porozumienia z Ukraińcami, biorąc udział w kolejnych próbach zawiazania ugody.

PRZYWÓDCA POLAKÓW I... NIEMCÓW W IZBIE POSELSKIEJ!

Biliński nie dokończył swojej drugiej kadencji gubernatora banku – zrezygnował, gdy polityka znów pochłonęła go bez reszty. 3 lutego 1909 r. Franciszek Józef zaprzysiężył nowy rząd, w którym Biliński objął tekę ministra finansów, wracając tym samym po 12 latach na szczyty władzy. Z tak wszechstronnym doświadczeniem oraz opinią człowieka zdolnego do kompromisu i poświęceń w imię wspólnego dobra, wyrastał on na czołowego polityka polskiego w Austrii. Z powodu konfliktów personalnych z ministerstwem odszedł już pod koniec 1910 r., jednak nie oznaczało to trwałej degradacji. Potwierdzeniem jego wyjątkowej pozycji był wybór na prezesa Koła Polskiego początkiem 1911 r. Co znamienne, kandydaturę Bilińskiego zgłosili ludowcy, a nie partia konserwatywna, której był członkiem. Zresztą, prezesurę w Kole Polskim po odejściu z rządu, podobno obiecał mu cieszący się wielkim autorytetem politycznym namiestnik Galicji, Michał Bobrzyński, który skupiał wokół swojej osoby szeroką koalicję dążącą do poprawy relacji z Ukraińcami na drodze ustępstw i reform (tzw. blok namiestni-



Pocztówka z Lwowa z początku XX w. W mieście dominowali wówczas Polacy. Według statystyk z 1906 r. językiem polskim posługiwało się 120 tys. mieszkańców, podczas gdy ukraińskim zaledwie 15 tys. mieszkańców. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Lwów stanowił centrum gospodarcze i kulturalne dla całej Galicji Wschodniej, w której na wsiach przewagę miała ludność ukraińska. Dlatego Ukraińcy dążyli do utworzenia w tym mieście swoich instytucji kulturalnych, oświatowych i społecznych – przypomina to nieco sytuację Polaków na Śląsku Cieszyńskim, którzy w tym samym czasie tworzyli swoje instytucje w Cieszynie zdominowanym przez ludność niemiecką.



Portret Leona Bilińskiego z początku XX w.



Małżeństwo sarajewskich żydów sefardyjskich sfotografowanych w tradycyjnych strojach (ok. 1900 r.)

kowski). W ten sposób dwóch najpotężniejszych Polaków w Austrii stworzyło silny tandem, sprzęgający „wodza” autonomicznej Galicji z przywódcą Polaków w wiedeńskim parlamencie.

Podczas swojej krótkiej, kilkumiesięcznej, prezesury w Kole Biliński przysłużył się Galicji nakłaniając rząd austriacki do rozpoczęcia największej inwestycji infrastrukturalnej w tamtej epoce, czyli do budowy kanałów wodnych łączących największe rzeki. Miało to pozwolić na stworzenie sieci taniego transportu towarowego za pomocą barek, doprowadzając do rozwoju handlu, a co za tym idzie całej gospodarki. Budowę kanałów rozpoczęto na wiosnę 1912 r. Już po dwóch latach wielką, planowaną na lata inwestycję przerwał i przedwcześnie zakończył wybuch I wojny światowej. W 1911 r. większość ludzi miała jednak nadzieję, że żadna wielka wojna nie wybuchnie, a „sprawa kanałów” była dla polityków galicyjskich niemalże obsesją.

Z kanałami wiązano nadzieje na wielki wzrost koniunktury gospodarczej, zdaje się, że nawet przeceniając ich realne znaczenie. Sam Biliński przewodzenie Kołu Polskiemu

w parlamencie wspominał bardzo dobrze, z wyjątkowo dużą porcją charakterystycznej dla siebie pychy, czy nawet megalomanii. Chętnie się, że: *za czasów (premiera) hr. Stuerghka, tenże nie czynił jednego ważnego kroku politycznego bez porady ze mną (...). Wszak ja takie nawiązałem był stosunki ze wszystkimi stronnictwami, że wydarzały się głosowania, przy których cała Izba stosowała się jakby po wojskowemu do mojego głosowania! Wszak wpływ mój na stronnictwa niemieckie był tak wielki, że w kuluarach zrobiono zjadliwy dowcip „przez nominację na ministra skarbu wspólnego stracili Niemcy swego przywódcę!”.*

„WIELKORZĄDCA” BOŚNI I HERCEGOWINY

Jak można było już wyczytać z powyższego cytatu, Biliński został „wysadzony” ze stołka przywódcy Koła Polskiego przez Franciszka Józefa, który między Świętami Bożego Narodzenia, a sylwestrem wezwał go do pałacu cesarskiego, aby wręczyć mu tekę wspólnego ministra skarbow (pełnienie tak dostojnej funkcji wspólnej unie-

możliwiłoby dalszy, czynny udział w polityce wewnątrzaustrackiej). Sprawa nie cierpiała zwłoki. Wspólny minister spraw zagranicznych, hr. Aehrenthal ciężko zachorował. Zastąpił go inny, zaufany dyplomata cesarza, Leopold Berchtold. Sprawę skomplikował jednak fakt, że Berchtold był obywatelem węgierskim (choć, co ciekawe, po węgiersku mówił bardzo słabo). Żeby wyrównać zwyczajowy parytet w podziale ministerstw wspólnych pomiędzy Austriaków i Węgrów z ministerstwa finansów wspólnych musiał ustąpić Węgier, baron István Burián. W jego miejsce wskoczył Biliński, który w opinii cesarza, z uwagi na jego wieloletnie doświadczenie w pertraktacjach z Węgrami i fachową wiedzę ekonomiczną, był osobą najodpowiedniejszą. Pod względem prestiżu i splendoru teki ministerstw wspólnych stały nawet wyżej niż teki ministerstw austriackich. Pod względem realnego znaczenia – cóż, w rzeczywistości minister finansów wspólnych miał niewiele pracy, gdyż ciężką pracę wykonywały delegacje ministerstw finansów Austrii i Węgier, które razem konferując, ustalały wspólny budżet na wojsko i politykę za-



Fotografia przedstawia jedną z najstarszych ulic w Sarajewie (XVI w.) – ulicę Logavina, oraz jej mieszkańców. Warto zwrócić uwagę, że część mężczyzn nosi na głowie tradycyjny dla muzułmanów w krajach Imperium Osmańskiego fez, podczas gdy inni noszą kapelusz w stylu europejskim.

graniczną. W tym układzie w rękach ministra pozostawało niewiele ponad kontrolowanie stanu ministerialnej kasy.

Na szczęście dla pragnącego władzy i chwały Bilińskiego, ministrowi finansów wspólnych przysługiwała także rola cywilnego zwierzchnika Bośni. Kraj ten został anektowany przez Austro-Węgry w 1908 r. (wcześniej przez 30 lat znajdował się pod okupacją Austro-Węgieł, tylko formalnie będąc wciąż częścią Imperium Osmańskiego), jednak Austriacy i Węgrzy nie mogli się porozumieć co do jego dalszych losów. Jedni domagali się włączenia Bośni w skład Austrii, drudzy w skład Węgier, a część polityków słoweńskich i chorwackich snuła wizję utworzenia trzeciego, jugosłowiańskiego członu monarchii habsburskiej, który miałby zawierać m.in. Bośnię. Wobec powyższego Bośnia, przynajmniej politycznie, pozostawała w zawieszaniu. W kraju rządził quasi-rząd. Administracja cywilna była podzielona pomiędzy departamenty pełniące funkcje ministerstw – szefowie departamentów byli zatem quasi-ministrami, a quasi-premierem Bośni od 1912 r. był właśnie Leon Biliński. Sam siebie nazywał *wielkorządcą*, co – biorąc pod uwagę wschodnie rysy

tego kraju – było określeniem całkiem trafnym. Nowy cywilny zwierzchnik Bośni wraz z żoną rozgościł się w willi w kurorcie zdrojowym Ilidža na przedmieściach Sarajewa, a następnie wystarał się o kredyt zaufania wśród miejscowych elit. Biliński był przyjaźnie nastawiony wobec miejscowych. Wzbudzał ich sympatię pijąc z nimi popularną tam kawę po turecku (*czarna*

jak piekło, mocna jak śmierć, słodka jak miłość) w niemal rytualnym zestawie z papierosem. Traktował ich z uprzejmością, sprawiedliwie i bez uprzedzeń, co było dla nich miłą odmianą po latach piastowania funkcji „wielkorządcy” przez Węgrów, którzy pogardzali małymi narodami słowiańskimi. Najznamienszym świadectwem przychylności Bilińskiego wobec



Pocztówka z kurortu zdrojowego Ilidža (niem. *Bad Ilidže*) pod Sarajewem, w którym mieszkał Biliński podczas pełnienia obowiązków cywilnego zwierzchnika Bośni i Hercegowiny.



Widokówka Sarajewa z początku XX w. Przedstawia ona bardziej reprezentacyjną, nowoczesną część miasta. Na widokówce zwraca uwagę linia elektryczna, tory tramwajowe oraz nowoczesny jak na owe czasy gmach na końcu ulicy.

Bośniaków, było przeforsowanie przez niego ustanowienia języka serbo-chorwackiego językiem urzędowym w Bośni, na co, ze względu na skomplikowaną sytuację polityczną kraju, Biliński musiał uzyskać zgodę Cesarza oraz, co gorsze, sejmu austriackiego i węgierskiego (wcześniej serbo-chorwacki stosowano w administracji i sądownictwie do kontaktu ze stronami, jednak językiem urzędowym był niemiecki). *Jako zarządca Bośni i Hercegowiny był minister skarbu wspólnego wprost przedstawicielem i zastępcą cesarza: jego przybycie do stolicy lub innej miejscowości witano hukami armat z fortecy i odgłosem wszystkich dzwonów* – wspominał Biliński. Sprawowanie zarządu nad Bośnią karmiło jego wielkie ambicje, lecz nie było zadaniem łatwym. Kraj zamieszkiwały trzy konkurujące ze sobą narody południowostowiańskie, dopiero co formujące swoją tożsamość w oparciu o różnice religijne: katolicy Chorwaci, prawosławni Serbowie i muzułmańscy Bośniacy. Biliński zręcznie lawirował pomiędzy stronnictwami (władzę ustawodawczą pełnił sejm bośniacki obradujący w Sarajewie), starając się je zjednoczyć wokół wspólnego celu, jakim był postęp społeczno-ekonomiczny.

Remedium na zapóźnienie gospodarcze kraju widziano w rozwoju infrastruktury, wszak żeby na wielką skalę eksploatować bośniackie bogactwa naturalne, żeby eksportować drewno i płody rolne, potrzebny był tani i efektywny masowy transport. Biliński „przepchnął” przez sejm tzw. ustawę kolejową, zawierającą plan wielkich inwestycji, a następnie, aby je sfinansować, załatwił w Niemczech korzystny kredyt na wielką wówczas kwotę 60 mln. koron. Obok rozwoju gospodarczego rząd krajowy kierowany przez Bilińskiego dbał także o rozwój szkolnictwa i nowoczesnej służby zdrowia. O tym, że jego postać w Bośni jest wspominana co najmniej dobrze, najlepiej świadczy fakt, że wydany w 1923 r. pamiętnik polskiego ministra c. k. monarchii w czasach współczesnych został wznowiony tylko raz... w języku bośniackim! Jako minister wspólny Biliński zajmował bardzo wysokie miejsce w hierarchii władzy imperium Habsburgów. Wielu zwracało się do niego, aby za jego pośrednictwem uzyskać tzw. łaskę monarszą (np. odznaczenie państwowe nadawane przez cesarza). Sam pełnił rolę protektora spraw polskich na cesarskim dworze oraz zabiegał u równego sobie rangą ministra spraw zagranicznych Berchtolda o działania dyplomatyczne na

rzecz obrony interesów polskich w zaborze rosyjskim i pruskim. Według Waldemara Łazugi: *ostatnie dwa, trzy lata przed wybuchem I wojny światowej należały do najlepszych w karierze Bilińskiego.* „Der weisse Fuchs” (biały lis; przydomek taki nadali mu Niemcy) był „na fali”. Jego nazwisko prawie stale wymieniano podczas rozmaitych kombinacji gabinetowych, a to jako kandydata na przyszłego szefa rządu, a to kandydata na stanowisko ministra spraw zagranicznych (...) regularnie z małżonką bywał na obiadach cesarskich, a w liczbie audiencji udzielonych mu przez cesarza mało kto się z nim równał (w tym czasie odbywał je dwa razy w tygodniu).

Intensywną, lecz dającą wiele satysfakcji pracę na stanowisku ministra finansów wspólnych, a zarazem quasi-premiera Bośni i Hercegowiny przerwał wybuch I wojny światowej w lecie 1914 r. O roli w tym wydarzeniu Leona Bilińskiego, który rzekomo gorąco popierał inwazję na Serbię, o jego działaniach na rzecz odbudowy państwa polskiego podczas wojny oraz służbie na rzecz odrodzonej Rzeczypospolitej dowiedzą się Państwo w kolejnym, ostatnim odcinku jego biografii, która ukaże się w lutym numerze „Zwrotu”.



STONAWSKA BLIZNA

26.1.1919

TEKST: DANIEL KORBEL

W piątek 24 stycznia 1919 r. po dwu pierwszych dniach wojny, wojska czechosłowackie zajęły już Zagłębie Karwińskie, Bogumin i Frysztat. 25 stycznia poza starciami patroli nie dochodziło do większych walk, a obie strony reorganizowały i wzmacniały swoje siły. Jednak strona polska po odliczeniu poniesionych strat, niewiele powiększyła liczebność oddziałów. Za to Czesi mogli już 26 stycznia włączyć do walki pierwsze bataliony z posiłkowej II Brygady płk J. Hanaka.

W Stonawie, poza miejscowymi, słabo uzbrojonymi milicjantami, do 25 stycznia było tylko 6 żandarmów. Na szczęście, po rozpoznaniu pozycji czeskich przez patrol szwoleżerów, popołudniu do wsi przybyła 11 kompania wadowickiego pułku piechoty dowodzona przez por. Bronisława Kawałkowskiego. Nastąpiło to prawie w ostatniej chwili, ponieważ wieczorem z Solcy wyszły na Stonawę dwa silne patrole czeskie, które ostrzelane przez polskich żołnierzy musiały się cofnąć.

W niedzielę 26 stycznia rano por. Kawałkowski wysunął do przysiółków Dolany

i Bonków silne patrole. Po godz. 8:00 siły czeskie z Solcy zaczęły się rozwijać do ataku w kierunku na dolinę rzeki Olzy i Łąki. 14 batalion strzelców (14 bat.st.) i II batalion 21. pułku strzelców legii francuskiej (II/21 ps), które miały nacierać w kierunku na Łąki, musiały przejść przez północny skraj Stonawy. Czołowy oddział 14 bat. st. został ostrzelany przez polskich żołnierzy silnym ogniem i zaczął się cofać w kierunku Darkowa.

Część polskich żołnierzy ruszyła za nim w pościg. Wywołało to czeską kontrakcję i polski oddział na Bonkowie znalazł się

pod ogniem nadchodzącego II/21 ps. czechosłowackiej legii francuskiej. Polscy żołnierze cofnęli się do centrum wsi i dołączyli do pozostałej części kompanii.

Stwierdziwszy silny opór sił polskich w Stonawie, Czesi rozwinęli do ataku większe siły, nacierające w trzech liniach gęstych tyralier. II/21 ps. wspierając natarcie 14 bs. na Łąki, przeszedł przez stonawskie folwarki Owczarnia i Drzewiannik i oba bataliony dalej nacierały na Łąki. Jednocześnie z Solcy przez Dolany bezpośrednio na centrum Stonawy uderzył I/21 ps. dowodzony przez mjr. Václa-



Por. Kawalkowski, dowódca obrony Stonawy



Mjr. Śidlik, dowódca czeskiego ataku na Stonawę

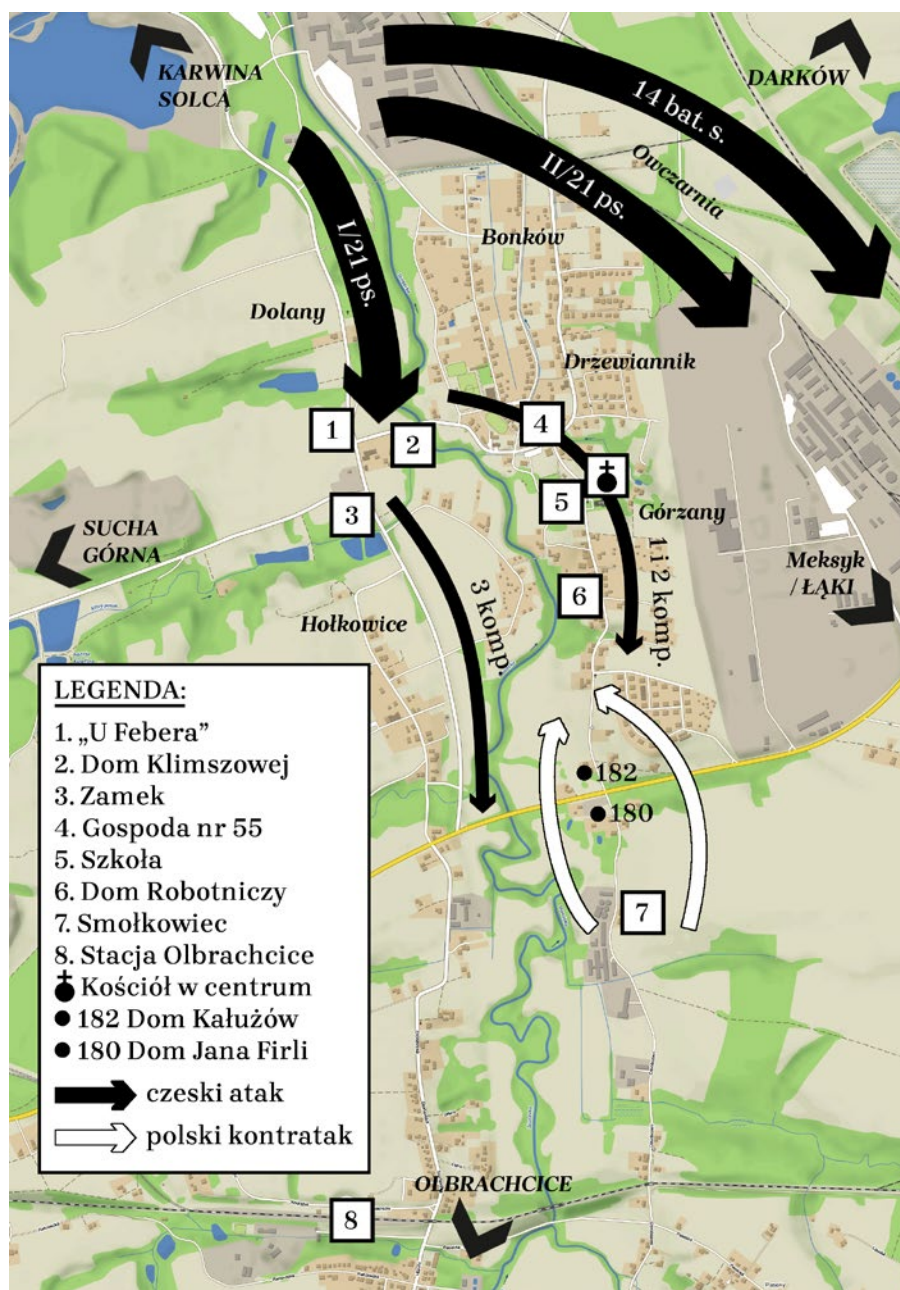
ła doliną rzeczki Stonawki. Czeskie oddziały w Hołkowicach i w centrum Stonawy miały bardzo dobre pole ostrzału z położonych wyżej pozycji. Żołnierze polscy byli dobrze widocznym celem na ośnieżonych polach i poruszali się w śniegu stosunkowo wolno. Czechostowacki I/21 ps. oprócz kilku ciężkich karabinów maszynowych z batalionowej kompanii km, miał w każdej kompanii nawet 10 lekkich km Chauchat.

Kiedy kontratakująca kompania por. Kawalkowskiego (około 100–120 ludzi i 1–2 karabiny maszynowe) podeszła pod czeskie pozycje, znalazła się pod lawiną

wa Śidlika. Stojąca tutaj polska drużyna musiała się wycofać przez Hołkowice. Jeden z jej żołnierzy, odcięty od reszty oddziału, porzucił plecak i karabin przed gospodą „U Febera” i schronił się w niej (gospoda już nie istnieje, a naprzeciw tego miejsca znajduje się dziś szkoła i przystanek autobusowy). Według relacji świadków chciał się poddać, ale został przez czeskich żołnierzy zabity. Ostrzelali oni również okna gospody i wrzucili do środka dwa granaty. Według czeskich relacji było to odpowiedzią na wcześniejsze strzały z okien tej gospody. W tym miejscu siły czeskie się podzieliły: 1 i 2 komp. ruszyła do ataku na centrum wsi, a 3 komp. nacierała przez Hołkowice.

Por. Kawalkowski wykorzystał solidny budynek gospody (dziś Dom PZKO) oraz wzgórze, na którym stoją kościół i szkoła, i przez około godziny powstrzymywał czeski atak. Niestety Czesi dysponowali zdecydowaną przewagą siły ognia broni maszynowej. Kilkunastu polskich żołnierzy zostało rannych, kilku zabitych, zaczęła im się także kończyć amunicja. Polski dowódca nakazał więc odwrót w kierunku folwarku Smółkowiec, gdzie pozycje zajmowała część 1 komp. 8 pp. z Krakowa, dowodzonej przez ppor. Eugeniusza Łysaka.

Rozgrzana walką 11 komp. po krótkim odpoczynku, uzupełniła amunicję (po 40 naboju na karabin), wzmocniona przez jeden pluton (około 30–40 żołnierzy) z 1 komp. 8 pp., około godz. 14:00 ruszyła do kontrataku, chcąc odbić centrum Stonawy. Ponieważ atak bezpośrednio drogą w kierunku centrum wsi musiał być prowadzony po stromym w tym miejscu podejściu, część sił polskich atakowa-



Szkic mapy bitwy o Stonawę | rys. Wojciech Świąć

ognia z co najmniej kilkunastu karabinów maszynowych i broni ręcznej. Grupa, która atakowała doliną Stonawki, znalazła się wręcz w krzyżowym ogniu czeskiej broni maszynowej, strzelającej z Hołkowic i z centrum wsi, m.in. spod Domu Robotniczego. Tak intensywny ostrzał całkowicie rozbił żołnierzy por. Kawalkowskiego, którzy zaczęli chaotycznie się cofać. Niektórzy próbowali się chować przed „ukropem” ognia w okolicznych domach. Padło wielu zabitych i rannych. Po odparciu polskiego kontrataku Czesi ruszyli za cofającymi się i zabili jednego z poddających się przed domem Kałużów, a przy folwarku Smółkowiec dobili dwóch rannych polskich żołnierzy. Po godz. 15:00 z komp. por. Kawalkowskiego udało się zebrać tylko ¼ składu. Nadchodzący czescy żołnierze zmusili te resztki do odejścia na nasyp linii kolejowej, biegnącej przez Olbrachcice do Cieszyna. Żołnierze, załamani klęską kontrataku, wstrząśnięci stratami, zmęczeni nieustającą wielogodziną walką, trwającą od godziny 8:00 rano, odeszli z tej pozycji na Cieszyn.

Warto też zauważyć, że choć 26 stycznia płk Latinik skoncentrował w Cieszynie rezerwy w sile prawie 1000 bagnietów, nie wysłał żadnej pomocy obrońcom Stonawy, którzy w stu kilkudziesięciu walczyli przeciwko co najmniej 500 legionistom czeskim.

ZABICI I ZAMORDOWANI W STONAWIE

Czesi atakujący Stonawę 26 stycznia stracili kilkunastu rannych i co najmniej 3 zabitych. Straty były prawdopodobnie większe, ale są trudne do potwierdzenia, gdyż nieznający Śl. Cieszyńskiego oficerowie czescy zapisali kilku zabitych żołnierzy jako poległych 26 stycznia „u Karwiné”, choć w Karwinie czy jej okolicy żadnych walk od 24 stycznia nie prowadzono.

Trudno więc jednoznacznie określić czy zginęli oni w walkach o Łąki, Stonawę czy Olbrachcice.

Polscy obrońcy Stonawy stracili 21 ludzi: najprawdopodobniej 15 żołnierzy z 11 kompanii wadowickiej, 1 z 8 pp., 4 milicjantów i jednego cywilnego ochotnika (lub stonawskiego milicjanta) Alojzego Friedla. Dopiero dwa dni po bitwie, 28 stycznia, Czesi pozwolili zebrać ciała polskich obrońców z miejsc, gdzie zginęli lub zostali zamordowani i pochować na



Cywilny ochotnik Alojzy Friedel

cmentarzu. Dzięki miejscowemu proboszczowi, ks. Franciszkowi Krzystkowi, zachowało się 5 zdjęć 20 pochowanych w zbiorowej mogile. Alojzy Friedel został pochowany w pobliżu, w grobowcu rodzinnym.

Już w połowie lutego 1919 r. zebrano zeznania świadków składane pod przysięgą dot. zbrodni i przestępstw dokonanych przez czeskich żołnierzy w czasie wojny 8-dniowej. Przekazano je alianckiej Komisji Sojuszniczej w Cieszynie oraz władzom polskim w Warszawie. Zostały także opublikowane w prasie lokalnej i ogólnopolskiej. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że świadectwa te, jak każde tego typu źródła, w części „deformowały” obraz opisywanych wydarzeń – m.in. z powodu szoku i przerażenia większości cywilnych świadków. Prawdopodobnie mogły także zostać w jakiejś części wyolbrzymione przez spisujących te relacje, którzy wiedzieli jak takie opisy mogą wpłynąć na decyzje Komisji Sojuszniczej.

Niestety takie niezbędne przypomnienie o konieczności ich krytycznej weryfikacji, zwrócenie uwagi na niejasności, czy wręcz sprzeczności, kończy się „etykietą czechofila”. Jednak bezkrytycznie powtarzana od 100 lat wersja jakoby 19 lub 20 polskich obrońców Stonawy, pochowanych we wspólnej mogile, zostało przez Czechów dobitych lub zamordowanych po wzięciu do niewoli, prowadzi do absurdalnych wniosków, że tylko cywilny ochotnik Friedel walczył do końca i zginął z bronią w rę-

ku. Stosunek zabitych w walce (1) do dobitych rannych lub zamordowanych jeńców (19–20), byłby absolutnie sprzeczny z polskimi i czeskimi relacjami, dotyczącymi przebiegu zaciętego, 7-godzinnego boju o Stonawę (od godz. 8 do 15), przy użyciu dużej ilości broni maszynowej i granatów ręcznych, krwawo odpartego polskiego kontrataku itd. Twierdzenie, że tylko 1 z obrońców Stonawy zginął w walce, a reszta się poddała, obraża i profanuje także pamięć i honor dzielnych żołnierzy i milicjantów, którzy w większości zginęli z bronią w rękę, w krwawej, zjadłej bitwie.

Zeznania świadków walk w Stonawie, te jednoznaczne i niepowtarzające się pozwalają na ustalenie, że dobitych lub zamordowanych obrońców Stonawy było najprawdopodobniej nie więcej niż 7, m.in.: zastrzelony żołnierz polski poddający się przy gospodzie „U Febera”, dobity ranny leżący przy drodze pod szkołą, poddający się bezbronny żołnierz, zakłuty bagnietem w okolicach tzw. zamku w Stonawie, zastrzelony poddający się żołnierz przy domu nr 182, należącym do Franciszka Kałuży, dwóch żołnierzy z obsługi karabinu maszynowego, w tym jeden ranny, mimo błagań o litość zastrzeleni pod folwarkiem Smółkowiec. Mamy więc informacje o zbrodniach dokonanych w różnym czasie (od przed południa do około godz. 15:00), w różnych częściach Stonawy (od gospody „U Febera” po leżący około 2 km dalej folwark Smółkowiec). Taki stosunek strat (zabitych w walce i zamordowanych poddających się lub rannych) jest zdecydowanie bardziej zgodny z realiami ówczesnych pól bitew i opisami walki o Stonawę. W świetle prawa międzynarodowego takie przypadki mordowania i dobijania umundurowanych żołnierzy były zbrodnią wojenną. Zbrodnią, za którą nikt nie poniósł kary.

Jedyna cywilna ofiara bitwy o Stonawę, nie biorąca udziału w walkach Magdalena Klimszowa, prawdopodobnie zginęła od zbłąkanej kuli, lub została śmiertelnie ranna po wrzuceniu przez czeskich żołnierzy granatów do gospody u „Febera”, gdzie sprzątała.

W niektórych polskich relacjach pojawia się także informacja, że czescy legionieści roztrzaskiwali polskim żołnierzom głowy „ciosami kolb, bądź też strzałami z bliskiej odległości, aż mózg im wyłaził...”.

Jednak na jedyńych 5 zachowanych zdjęciach (dostępnych także w internecie), wykonanych na cmentarzu stonawskim, twarze praktycznie wszystkich z nich są widoczne, ale nie widać na nich tak bestialskich czynów. Nie ma jednak zdjęcia ciała cywilnego ochotnika, Alojzego Friedla, który – jeśli był nieumundurowanym cywilem biorącym udział w walce, jeśli żywy lub tylko ranny dostał się do niewoli – mógł być potraktowany wyjątkowo brutalnie przez czeskich legionistów? Być może taki pojedynczy przypadek dobicia rannego kolbami karabinów został później kilkukrotnie powielony w relacjach? Pamiętajmy, że wojna czesko-polska toczyła się pod oknami domów i cywile musieli przeżywać prawdziwy wstrząs, przerażenie i szok wywołany przebiegiem działań wojennych.

Wśród mieszkańców Stonawy zachowała się w przekazie międzypokoleniowym pamięć o tamtych wydarzeniach, a nawet niektórych ważnych szczegółach i epizodach tej bitwy, np. o tym jak rozpaczliwie polscy ranni i jeńcy błagali o darowanie życia, czy też o tym, że czescy legionisi zabierali zabitym buty, części umundurowania, pieniądze i zegarki, nie tylko na polu bitwy, ale nawet 28 stycznia, gdy na cmentarzu zebrano ciała przed ich pogrzebaniem. Było to szokujące cywili przestępstwo, choć niestety powszechnie stosowane przez żołnierzy wszystkich armii „zbójckie prawo wojny”. Pozostała także pamięć o postępowaniu żołnierzy z I/21 ps., którzy po zajęciu Stonawy zachowywali się jak okupanci i za wyjedzone i wypite zapasy gospody nie zapłacili.

PAMIĘĆ O BOHATERACH

Zbrodnia popełniona w Stonawie na polskich żołnierzach pozostaje jednym z najkrwawszych i brutalnych wydarzeń wojny 8-dniowej o Śl. Cieszyński i mimo słabej znajomości przebiegu tego konfliktu, pozostała w pamięci kolejnych pokoleń jak głęboka blizna. Zbiorowa mogiła 20 obrońców Stonawy od roku 1919 była zawsze pod opieką miejscowych Polaków. Jesienią 2018 r. dzięki staraniom Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i wójta Stonawy Andrzeja Febera oraz przy wsparciu finansowym polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zbiorowa mogiła została odnowiona. Zamontowano także nową tablicę z pełną listą imion i nazwisk pochowanych, które ustalił pasjonat historii Stanisław Kuba. W zeszłym roku czeski historyk dr Tomáš Rusek poszukując informacji o polskich obrońcach Śl. Cieszyńskiego pochowanych na orłowskim cmentarzu w latach 1918–1920 odnalazł dokumenty źródłowe potwierdzające, że Jan Adamiec najprawdopodobniej ciężko ranny w czasie walk o Stonawę, zmarł w czeskim szpitalu w Orłowej 29.1.1919 i został pochowany na orłowskim cmentarzu.

JEDEN Z 21

Jan Byrski ur. 16.12.1897 w Niepołomicach, zam. w Kozach, pow. Biała. Absolwent gimnazjum A. Asnyka w Białej, członek ruchu skautingowego/harcerstwa. W maju 1915 r. uciekł do Legionów Polskich, gdzie walczył w 6 pułku piechoty m.in. jako zwiadowca. Po rozwiązaniu III Brygady Legionów, od 1917 r. wcielony



Kapral Jan Byrski z okresu służby w Legionach

do armii austriackiej. Jesienią 1918 r. zgłosił się na ochotnika do tworzonych w Bielsku i Białej oddziałów Wojska Polskiego. W szeregach 11 komp. pułku wadowickiego jako kapral/sekcyjny, dowódca obsługi karabinu maszynowego został wysłany na pomoc obrońcom Śl. Cieszyńskiego. Ranny, został najprawdopodobniej dobit pod folwarkiem Smotkówiec w końcowej fazie walk – nr 19 na fotografii zbiorowej wykonanej na cmentarzu w Stonawie. Odznaczony pośmiertnie Krzyżem Walecznych (1.10.1921.) i Virtuti Militari (17.05.1922.), w uzasadnieniu odznaczenia napisano m.in.: „jeden z najdzielniejszych, brawurowo odważny, śmiały i energiczny w służbie gorliwy i wytrwały”.



Tablica na mogile w Stonawie

PAMIĘTNIK NAUCZYCIELA Z MICHAŁKOWIC. WSPOMNIENIA OD NAJMŁODSZYCH LAT

CZĘŚĆ III

TEKST: ALOJZY KOŁORZ; PRZYGOTOWANIE DO DRUKU I WSTĘPNA REDAKCJA: SYLWIA GRUDZIEN

Zapraszamy do lektury trzeciej części wspomnień Alojzego Kołorza – nauczyciela urodzonego w 1891 roku, który swoją drogę zawodową rozpoczynał w polskiej szkole w Michałkowicach koło Ostrawy. Nauczyciel spisał swoje wspomnienia na maszynie do pisania w 1962 roku. Obejmują one okres od wczesnego dzieciństwa do końca drugiej wojny światowej – autor we wstępie opisuje również wspomnienia swojego dziadka. Maszynopis przekazał naszej redakcji Tadeusz Nowak.



WESELE W GOSPODZIE

W gospodzie odbywały się również zabawy weselne. Gospodarze nie mieli u siebie obszernych mieszkań, więc weselna zabawa taneczna odbywała się w gospodzie. Wesela odbywały się w następujący sposób. Do południa schodzili się goście weselni ze strony młodego pana, czyli *żynicha*, do domu jego rodziców. Tam czasami przychodzili już muzykanci i grali nie tylko różne wesole i skoczne utwory, ale również pieśni kościelne związane z ceremonią weselną i ślubem. Potem cały orszak weselny ze *starostą* weselnym na czele udawał się do domu młodej panny, czyli *niewiasty*, a muzyka przygrywała im marsze. Tam dopiero *starosta* niewiasty wyprawiał różne ceregiele, aż w końcu *niewiasta* pokazała się *żynichowi* na oczy. Potem *żynich* brał z talerza młodej pani (*niewiasty*) wianuszek uwity z mirtu i kwiatków położony na białej serwetce, którą obtarł sobie czoło. Za to jednak *żynich* musiał się wkupić i położyć na ten sam talerz pieniądze albo jakiś inny prezent. Po spożyciu posiłku wyruszyli wszyscy z domu *niewiasty* na ślub do kościoła oddalonego co najmniej godzinę pieszej drogi.

Bardzo często muzykanci szli z gośćmi weselnymi aż do kościoła i z powrotem przygrywając po drodze melodie do marszu. Nieraz jednak muzykanci przyszedli wprost do gospody i czekali na przyjście gości weselnych z kościoła. Po ślubie wszyscy goście weselni szli do gospody. Kiedy zbliżali się ku gospodzie, wtenczas muzykanci wychodzili przed gospodę i grali

marsza, a jako pierwsza para wchodziłi do gospody nowożeńcy, potem druhy z družbami, których było co najmniej dwóch, a często trzech, następnie *starostowie* i rodzice nowożeńców, a w końcu szła reszta gości.

Goście weselni bawili się, tańczyli i popijali. Kiedy tak tańczyli ze dwie godziny, matka młodej pani przyniosła w koszach jedzenie. Były to kotacze, kielbasa zapiekana w cieście, mięso pieczone z chlebem i inne jedzenie. Matka młodej pani rozdawała je gościom, a goście jedli w sali tanecznej na stojąco. Potem koło godziny ósmej wieczorem wszyscy goście weselni wybierali się na obiad do domu młodej pani. Przed wyjściem z gospody muzykanci ustawili się w sali tanecznej, a za nimi goście weselni. Potem muzykanci zagrali marsza i wyprowadzili gości przed gospodę. Tam jeszcze zagrali pieśń weselną, a goście wolnym krokiem ruszyli do domu weselnego na obiad. Bardzo często, i to przeważnie latem, uczta weselna odbywała się na gumnie w stodole, gdyż gospodarze często mieli za ciasne mieszkanie i nie pomieściliby gości w pokoju.

Około północy goście weselni wracali z powrotem do gospody. Przed gospodą czekali już na nich muzykanci. Skoczną melodią powitali nowożeńców i gości i wprowadzili ich na salę. Teraz już zabawa trwała do godziny trzeciej rano, a czasem nawet do samego rana. Na wesele do gospody przychodzili też inni ludzie, przeważnie młode dziewczyny i kawalerowie. Przychodzili również *stare baby*. Słowo to nie jest użyte

złośliwie, tak normalnie nazywano na wsi starsze kobiety i nie było w tym nic obraźliwego. Przychodziły z ciekawości, a potem między sobą obgadywały *niewiastę*, *żynicha*, *starostów* i innych gości weselnych. Młode dziewczęta i kawalerowie, którzy nie byli gośćmi weselnymi, tańczyli na równi z innymi. Przez ten czas, kiedy goście weselni byli na obiedzie, to młodzież miała wiele miejsca na sali i tańczyła, aż się jej z czupryn kurzyło. Wszystkich tych, którzy przychodzili na wesele z ciekawości, nazywano *czakaczami* i śmiano się z nich, że *przyszli na wybłyszczki*.

STAROSTA WESELNY W PIEKLE

Na weselu był zwyczaj częstować gości wódką. *Wiesielowi* kupowali półlitrowe butelki wódki, przeważnie słodkiej, nazywanej u nas *rozolką*, bo byłoby ordynarnie na weselu częstować czystą wódką. Pito wprost z butelki. Ażeby jednak gość za dużo naraz nie wypił, dlatego szyjka butelki była wąska, wódka lała się więc powoli. Dopiero później częstowano kieliszkami.

Był sobie pewnego razu wesóły *starosta* weselny, który bardzo lubił wypić. Często wał *rozolką* innych i sam też mocno pociągał z butelki, toteż porządnie szumiało mu już w głowie, tym więcej, że było upalne lato. W owych czasach ustępy znajdowały się obok chlewa i obory. *Starosta* weselny, mocno już podchmielony, wyszedł na podwórze i zamiast skierować się do ustępu poszedł do drzwi następnych, do obory, gdzie były krowy. To mu nic nie przeszkadza-

dzało. W oborze było jednak cieplej niż na polu, wskutek czego starosta dostał zawrotu głowy, przewrócił się i zasnął na stómie tuż obok krowich łbów.

Po pewnym czasie *wiesielowi* zauważyli brak starosty. Nikt nie wiedział, gdzie zniknął. Trzeba było iść do *młoduchy* na obiad, a *starosty* nie ma. Na polu zrobiło się ciemno. Wszyscy szukali starosty, a jego jak nie ma, tak nie ma. Naraz wszyscy usłyszeli jakiś przeraźliwy ludzki głos z obory: – *Jezus, Maryja, Jozef, ludkowie, ratujcie mnie, jo je w piekle! Tu same rooogi, tu same lańcuchy! Ratujcie mnie! Jo sie już napraaaawiyim! Już nie bedym grzeeeszył! Ludkooowie, ratujcieee mnie!*

Usłyszeli to goście weselni i idą do gospodzkiej, to jest do mojej matki, i mówią jej, że w oborze jakiś chłop wrzeszczy, że jest w piekle. Matka zapala latarnię, idzie naprzód do obory, a za nią *wiesielowi*. Matka otwiera drzwi, świeci, a wszyscy patrzą, co się dzieje. Obok krowich głów była drewniana balia czyli *źber*, gdzie zwykle krowy miały żarcie. *Starosta* stał obie- ma nogami *we źberze*, jedną ręką trzymał krowę za róg, drugą ręką drugą krowę za łańcuch, płakał i krzyczał w niebogłoty. Skoro chciał nogę posunąć dalej, natrafił na opór balii, kiedy rękami macał po omaku, natrafił zawsze na rogi krów stojących jedna obok drugiej. Krowa trzymana za róg, ruszała głową pobrzękując łańcuchem. Miły *starosta* przeraził się, że jest w piekle i dlatego tak przeraźliwie krzy- czał. Goście weselni podeszli do niego i wyprowadzili go z „piekła”. *Starosta* zaraz wytrzeźwiał. Teraz dopiero i on, i goście weselni poszli na obiad do *młoduchy*. Po powrocie z obiadu do gospody starosta najwięcej tańczył i cieszył się, że został wybawiony z piekła.

Z czasem zwyczaj i obrzędy weselne zaczęły się zmieniać. Przeszto chodź na ślub do kościoła do Błędowic Dolnych piechotą. Goście weselni wozili się *kolasami*, czyli powozami. Ponieważ we wsi były na ogół trzy lub cztery pary koni, więc musiano wynajmować gospodarzy z końmi ze sąsiednich wsi, przeważnie z Błędowic Dolnych. Zapłata za przewóz na ślub i z powrotem była dosyć wysoka, więc nie wszyscy goście weselni jechali na ślub do ko- ścioła. Czasem było tak, że tylko nowożeń- cy, družbowie z druhnami i *starostowie* jechali na ślub, a inni czekali w domu *mło- duchy* lub w gospodzie na przyjazd ze ślu- bu. Na jazdę *kolasą* do ślubu mogli już

sobie pozwolić młodzi ludzie, gdyż prze- ważnie pracowali na kopalni jako górniczy. Nie musieli się oni tak ograniczać w wydat- kach jak rolnicy lub chałupnicy.

Obecnie, po roku 1950, do ślubu nie jeżdżą już *kolasami*, ale samochodami. Wesela odbywają się przeważnie w domu młodej pani, nieraz bez zabawy tanecznej w gos- podzie, częściej jednak *wiesielowi* udają się wieczorem do gospody, żeby tam po- tańczyć i wspólnie się zabawić. Również i obrzędy przed ślubem w domach *żynicha* i *młoduchy* szybko idą w zapomnienie.

CZY BYŁO PIJAŃSTWO?

Jak sobie z lat chłopięcych przypominam, pijaństwa na ogół nie było ani w gospo- dzie, ani na wsi, Ośmielam się twierdzić, że moja matka, jako *gospodzka*, wiele się do tego przyczyniła. Nieraz widywałem pijanych w gospodzie, którzy dalej chcieli *kwitu*, czyli wódki. Matka im jednak sta- nowczo odmawiała: – *Już macie na dzisiaj dosyć, idźcie już do domu, tam czeka na was żona, tam czekają na was dzieci! Za- miast wódki kupcie dzieciom „bombonów” (cukierków) i po „rożku” (rogaliku), to i one będą się cieszyły i będą was ścisnęły z radości kole karku (koto szyi), to będzie ale radości w domu!*

Bardzo często dali się chłopi namówić i usłuchali matki, bo wiedzieli, że tam nie ma wyzysku i że *gospodzka* podchodzi do nich po ludzku. Tak postępowała matka w roku 1900.

Kto by w roku 1959 w ten sposób postąpił?

PIJANICA SZAROWSKA

We wsi Datynie Dolne było jedno duże gospodarstwo na kopcu na pograniczu Błędowic Dolnych, które należało do niejaki- go Szarowskiego. Gospodarza Szarow- skiego nie pamiętałem i nie znałem go, za to gospodynię Szarowską, którą we wsi nazywano Szarówką albo Szarulą, dobrze sobie przypominam. Była to wielka pijani- ca i, jak mi matka opowiadała, ona przepi- ta całe gospodarstwo. Musiała je sprzedać i tylko w jednym pokoju na tym gospodar- stwie mieszkała. Pokój ten miała prawo używać do śmierci, czyli miała prawo doży- wocia. Szarowska miała takie okresy, że czasem piła nawet 14 dni bez przerwy, po czym znów nie piła miesiąc lub dwa. Przez ten czas pilnie pracowała, aby zarobić

sobie na życie. Skoro już nie miała swego gospodarstwa, chodziła pracować do in- nych gospodarzy, którzy ją chwalili jako dobrą robotnicę. Ale jak na Szarowską przyszedł znów okres pijaństwa, to nic ją nie mogło wstrzymać od tego, żeby pić! Szarowska piła bez przerwy od rana do wieczora, a gdy się wyspała, to znów piła cały dzień i następne dni. Nie piła ona tylko w jednej gospodzie. Chodziła od gospody do gospody i piła tak długo, aż przepiła wszystkie swoje zapracowane pieniądze. Skoro już pieniędzy nie miała, to raz zastawiła suknię w jakieś gospodzie, żeby tylko mieć za co pić, chodziła potem w *spódnicy* (w halce). U matki w gospodzie też często piła na kredyt, ale w czasie trzeźwości odpracowała dług przy robo- tach polnych.

Pewnego razu piła też Szarowska w gospo- dzie od samego rana i to na kredyt. Było już po południu, a Szarowska chciała dalej pić, matka nie dała jej wódki, mówiąc, że na dzisiaj ma już dosyć. Szarowska poczęła prosić matkę o wódkę, ale matka była nie- ustępliwa. Wtedy Szarowska uklękła w gos- podzie przed matką na kolana, złożyła ręce jak do modlitwy, oczy skierowała ku niebu i mówi do matki: – *Pyty, pyty (pro- szę, proszę), gospodzko, bydziecie tak dobrzy a dejcie mi gorzotki (wódki), bo mi ona aż z obłoków wónio (pachnie)*. Matka zlitowa- ła się i znów nałata jej wódki.

Czy ta Szarowska nie była pożałowania godną osobą? Szarowska była sympatycz- na i na ogół we wsi lubiana, tylko ten alko- holizm był jej nieuleczalną chorobą. Nie wiem, czy widok pijanych ludzi w gospo- dzie podziątał na mnie w tym kierunku, że nigdy w życiu nie nadużywałem alkocho- lu, a nawet był czas, kiedy alkoholu do ust nie wziętem. Tak samo było z papierosami. Matka miała trafikę, to znaczy sprzedaż papierosów, cygar i tytoniu. Często ja sprzedawałem papierosy, ale palić się nie nauczyłem, tak samo nie paliło moich dwóch braci, a mój syn również nie pali.

GŁUPI PINDUR

We wsi Błędowice Średnie graniczącej z Datyniami Dolnymi było osiedle nazywa- ne *Szpluchowym* albo *Na Szpluchowie*. Później nazywano je *Na Amczyce*, a to z tego powodu, że dużo młodych ludzi wyjeź- dzało stamtąd za pracą do Ameryki. W *Szpluchowie* mieszkał niejaki Pindur, mężczyzna w sile wieku, ale pod względem

umysłowym od urodzenia nienormalny, czyli umysłowo upośledzony. Dla otoczenia był nieszkodliwy. Czasem pracował on nawet w polu przy żniwach, czasem woził nawóz na taczkach oraz wykonywał inne prace w gospodarstwie. Często nie pracował wcale, chodził tylko po sąsiednich wsiach i prosił o jałmużnę, chociaż był on właścicielem niewielkiego gospodarstwa rolnego. Ludzie opowiadali, że jego rodzice mieli z początku same córki, a ojciec życzył sobie syna. Kiedy urodziła się im druga córka, ojciec przeklinał i złorzeczył, że zamiast syna jest córka. Potem urodziła się trzecia córka i wtenczas złorzeczeniom i przeklinaniu nie było końca. Nareszcie urodził się syn i ojciec był uradowany i zadowolony. Później okazało się jednak, że syn byk umysłowo upośledzony. Być może, że całość jest anegdotą, która wśród ludzi na wsi ma wielkie znaczenie moralne i podkład psychologiczny, ale faktem jednak było, że młody Pindur był głupi.

Gdy wyrósł, rodzice zabezpieczyli mu utrzymanie na gospodarstwie, ale Pindur wolał biegać po wsiach i prosić o jałmużnę, której mu nikt nie odmówił. Nieraz zapytany o coś, dawał taką trafną i mądrą odpowiedź, że było się trzeba dziwić, iż tak rozumnie odpowiada. Przy każdej kaplicy, krzyżu czy przy kościele klęczał i modlił się. Pewnego razu przechodził koło kościoła katolickiego w Błędowicach Dolnych. Uklęknął przed nim i na głos się modlił. Widział to ksiądz proboszcz i dał mu nie tylko groszy, ale przebrał go również do swego znoszonego już czarnego ubrania. Podarte ubranie Pindura wyrzucił. Po jakich dwóch miesiącach głupi Pindur znów przychodzi na probostwo katolickie do Błędowic Dolnych. Ksiądz widzi, że Pindur znów jest w starych, podartych łachmanach, a czarnego ubrania nie ma. Pyta więc głupiego Pindura, co zrobił z czarnym ubranem, na co Pindur odpowiada: – *Ubranie sprzedałem, bo kiedy szedłem żebrząc, to mi każdy mówił, że mam ładniejsze ubranie niż mają oni i nie chcieli mi nic dać. Kiedy ubranie sprzedałem, to ludzie znów dają mi pieniądze.*

Głupi Pindur znany był daleko, aż gdzieś po Ostrawę. W każdej gospodzie, do której wstąpił, dostał za darmo kieliszek wódki, chociaż nieraz sam sobie wódkę kupował, gdy od ludzi nabierał dosyć pieniędzy. Czasem głupi Pindur nie był kilka lub kilkanaście dni w domu i nocował gdzie wypa-
dło: w lecie na łąkach, w kopkach siana,

porą zimową po domach, bo każdy chętnie udzielił mu noclegu. Niekiedy w zimie głupi Pindur chodził boso. Sam widziałem go raz w zimie biegnącego boso po śniegu. Ponieważ z Datyniach Dolnych w kierunku Ostrawy było przy drodze dużo domów, więc głupi Pindur biegł boso po śniegu od domu do domu, tam sobie nogi ogrzał i znów pobiegł dalej do następnego domu aż przebiegł drogę 16 km w jedną stronę do Ostrawy i znów tę samą drogę z powrotem. Często dobrzy ludzie zaopatrywali go podczas takiego biegu w starsze, ale dobre jeszcze buty. Dali mu również pojeść, kiedy tylko powiedział, że jest głodny.

Głupi Pindur lubił sobie popić, a zwłaszcza w zimie, co dodawało mu ciepła przy jego lichym ubraniu. Zdarzyło się pewnego razu w zimie, że głupi Pindur popił sobie, przewrócił się na drodze i zmarł. Górnicy idący w nocy ze szczyty natrafili na drodze blisko kaplicy cmentarnej w Szumbarku na zmarzniętego Pindura. Blisko kaplicy mieszkał grabarz. Górnicy wstąpili do grabarza i wspólnie z nim zanieśli zmarzniętego do kaplicy, położyli na ziemię, żeby go rano zabrać i pogrzebać. Cóż się okazało? Głupi Pindur nie był zmarznięty na śmierć. Pod wpływem cieplejszego powietrza powoli odtajał i przyszedł do życia. Gdy już przyszedł do siebie, otworzył oczy, uświadomił sobie, że jest w kaplicy na cmentarzu, bo w bocznym pomieszczeniu widział katafalk i krzyż. Wielki strach padł na niego i zaczął rozmyślać, jak wyjść z tej pułapki. Chciał otworzyć drzwi, ale były zamknięte a w oknach były kraty. Nad ranem słyszy, że ktoś przychodzi ku kaplicy, wkłada klucz do drzwi i odmyka. W międzyczasie głupi Pindur schował się za drzwi, stał tam cichutko, a kiedy grabarz otworzył drzwi, to głupi Pindur wyskoczył na pole i dalej w nogi. Grabarz tak się przestraszył, że go na miejscu szlag trafił i zamiast pogrzebać głupiego Pindura, grzebano grabarza.

Później pytano go jak to było z tym zmarznięciem i co się działo w kaplicy, na co głupi Pindur odpowiedział, iż bał się, że go chcą żywego pochować, więc skrył się za drzwiami i kiedy je grabarz otworzył, wtedy uciekł.

KUMEDYJANCI Z OSTRAWY

Co pewien czas, przynajmniej raz, a czasami i dwa razy w roku, zjawiali się w gospodzie „komedianci”, aby w sobotę i w niedzielę wieczór dać przedstawienie, czyli

jak ogólnie ludność mówiła, żeby robić *kumedyje*. Byli to Czesi i zwykle gdzieś od strony Ostrawy przyjeżdżali do nas. Już w dniu poprzednim chodzili po wsi i bębnowali: jeden na dużym bębnie, a drugi na małym. Gdzie znajdowała się większa ilość chałup przystanęli i ogłaszali, że w tym i tym dniu, o tej i tej godzinie odbędzie się w gospodzie *kumedyja*, na którą serdecznie wszystkich się zaprasza. W oznaczonym terminie zeszło się sporo ludzi w gospodzie. Wprawdzie płaciło się wstępne, ale ludzie, żądni ciekawych rzeczy, chętnie na te *kumedyje* przychodzili. Ja, jako dziesięcioletni chłopiec, musiałem również wszystko widzieć i gdzieś z boku przyglądałem się wszystkiemu. Był to teatr kukielkowy i do dziś dnia przypominam sobie niektóre sceny.

Król wyruszył na wojnę pozostawiając królową na zamku. Zarządca zamku, Golo, pod nieobecność króla umizgał się do królowej. Królowa nie reagowała na zaloty i amory rządcy zamku, za co Golo oskarżył ją w liście do króla o niewierność małżeńską. Król wysłał z placu boju list z rozkazem zamordowania królowej. Rządca Golo wysłał dwóch dworzan z królową do lasu z nakazem zamordowania jej w lesie. Jeden dworzanin chciał spełnić rozkaz rządcy Golo. Już skierował sztylet przeciwko królowej, kiedy drugi dworzanin wstawił się za nią, tym więcej, że królowa prosiła obu o darowanie jej życia. Królową pozostawiono przy życiu pod warunkiem pozostania na stałe w lesie. Do królowej przysłała sarna, którą ją karmiła swoim mlekiem. Dworzanie skłamałi przed rządcą zamku, że rozkaz wykonali. Po pewnym czasie król wrócił z wojny i dowiedział się, że rządcą Golo namawiał królową do grzechu, żał mu się zrobiło królowej, wybrał się w głąb lasu, by chociaż przynajmniej zobaczyć jej grób. Ku swej wielkiej radości spotkał królową razem z sarną. Radości nie było końca, a rządcą Golo poniósł zastużoną karę przez ścięcie. Później nieraz jeszcze widziałem przedstawienia kukielkowe, ale treści już sobie obecnie nie przypominam.

DAWID Z CIESZYNA

Do gospody matki przyjeżdżali jeszcze inni *kumedyjanci*, czyli czarodzieje. Między innymi przyjeżdżał też Dawid z Cieszyna, zamieszkały przy ul. Przykopa. Z zawodu był to mechanik, czy też jakiś elektrotechnik, a w soboty i niedziele urządzał często

w gospodach powiatu cieszyńskiego przedstawienia kuglarskie. Ludzie na takie przedstawienia chętnie przychodzili, to też sala taneczna była zawsze pełna ludzi. Widzom podobały się różne sztuczki, które Dawid pokazywał. Dawid położył np. na dłoni jakąś monetę, a drugą ręką tart palcami po tej monecie. Po pewnym czasie moneta z dłoni znikła, a Dawid wyciągnął ją jakiejś osobie spod kołnierza marynarki. Albo Dawid pożyczył od jednego z widzów zegarek, dał go do moździerza i potłukł zegarek na drobne kawałki. Potem potłuczony zegarek załadował do rewolweru i strzelił w kierunku ściany. W tym samym momencie zobaczyliśmy ten zegarek nieuszkodzony wisieć na ścianie. Wiele i wiele różnych sztuczek pokazywał Dawid, a wszyscy byli tym wszystkim bardzo zaskoczeni i zdziwieni. Po przedstawieniu przez parę tygodni opowiadano jeszcze o tych różnych sztukach magicznych, które dla mnie, jako chłopca wiejskiego były wprost czymś rewelacyjnym.

„ZABAWA BYŁA POWAŻNA, SOLIDNA, NIE BYŁO NIGDY ŻADNYCH AWANTUR PIJACKICH”

Na wiosnę, przeważnie w miesiącu maju, odbywał się w mieście Cieszynie pobór do wojska (*asent*) z całego powiatu cieszyńskiego. Na każdy dzień było wyznaczonych kilka wiosok do poboru, który odbywał się w salach Nowej Strzelnicy w Cieszynie. Był to zawsze pamiętny dzień dla młodzieńców. Poborowi we wsi zamawiali sobie powozy, czyli *kolasy*, i kazali się zawieźć do Cieszyna i z powrotem. Młodzieńcom, uznanym za zdatnych do wojska, drudzy koledzy kupowali małe bukietki kwiatów (*wónińczki*), które przypinano im do klap marynarek. Jeśli kto miał tych kwiatów za dużo, to kładziono mu je za wstążkę kapelusza. Niektórzy mieli całe kapelusze udekorowane *wónińczkami*. W dzień *asentu* rekruci bardzo się upijali. Jedni z radości, że ich do wojska nie wzięto, drudzy z żalu, że stali się żołnierzami. W każdym razie jedni i drudzy byli pijani, i jadąc z powrotem z Cieszyna śpiewali na *kolasach* różne wesole pieśni. Na miejscu w Datyniach Dolnych w gospodzie czekali już na swych synów rodzice, przeważnie ojcowie, ciekawi na wynik poborów. Jedni ojcowie płakali i kłęli, drudzy śmiali się, ale wszyscy pili. Dopiero późnym wieczorem lub aż gdzieś w nocy wracali wszyscy do swoich domów.

Na drugi dzień nastąpiło otrzeźwienie i rozmyślanie nad trzyletnią służbą wojskową. Właśnie w sile wieku, kiedy młodzieńcy mógłby najwięcej zarobić na kopalni czy na gospodarstwie, to wtedy musi iść do wojska i tam marnować trzy lata bezpłatnie, a właściwie jeszcze dopłacać do służby wojskowej, bo tych kilka halerzy żołdu (zdaje mi się 14 halerzy dziennie) mu nie wystarczyło. Ale nie dało się nic robić, innego wyjścia nie było. Jesienią było trzeba iść do wojska, czyli było trzeba *rukować*.

Przed odejściem rekrutów do wojska, a bywało ich na wsi rok rocznie zwykle od 7 do 10, odbywała się jeszcze w gospodzie zabawa taneczna, zwana *muzyką rekrucką*. Gospodarzami zabawy byli rekruci. Na tę zabawę przychodziła wszystka młodzież. I ci, co nie byli wzięci do wojska, przyszli się pożegnać ze swymi kolegami. Dziewcząt na zabawie było co niemiara, gdyż prawie każdy rekrut miał już wśród dziewcząt jakąś upatrzoną sympatię. Na zabawę rekrucką przychodzili również rodzice rekrutów. Zabawa była poważna, solidna, nie było nigdy żadnych awantur pijackich. Niekiedy rekruci kupowali sobie wojskowe czapki, i podczas tańca, chociaż byli w cywilnych ubraniach, nakładali czapki na głowę, chcąc w ten sposób zaimponować innym.

Nareszcie nadszedł dzień *rukowania* do wojska. W oznaczonym dniu rekruci stawili się na placu koszarowym w Cieszynie, tam przydzielano ich do różnych formacji wojskowych stacjonujących w poszczególnych miastach monarchii Austro-Węgierskiej. Już na święta Bożego Narodzenia żołnierze ci otrzymywali krótkie trzydniowe urlopy na przyjazd do domu. Urlopy otrzymywali co roku, a po 3 latach służby wracali do domu do swych dawnych zajęć i swej dawnej pracy.

PĘD DO OŚWIATY. ZDOLNI UCZNIOWIE

Wieś Datynie Dolne w latach 1890–1900 była małą gminą, liczącą jakich dziewięćdziesiąt chałup, ludność liczyła jakich 800–900 głów. Wieś leżała mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Cieszynem a Ostrawą, do jednego i drugiego miasta było przeszło czternaście kilometrów drogi, którą trzeba było odbywać piechotą lub furmanką, bo innej komunikacji wtenczas nie było. Chociaż wieś leżała na uboczu, to chłopcy garnęli się do oświaty i nauki oraz dążyli do tego, żeby ich dzieci czegoś się nauczyły.

Pierwsza szkoła w Datyniach Dolnych mieściła się w prywatnym budynku gospodarza Bystronia, od którego wynajęto jedną izbę na klasę. Miał on chłopca w wieku szkolnym. Chłopiec ten robił nadzwyczajne postępy w nauce, przez co zwrócił na siebie uwagę nauczyciela. Jako chłopak pasał on dwie lub trzy krowy po miedzach lub na łące koło olszyny. Zabierał z sobą książki, z których się uczył podczas pasania krów. Wiadomości z książek bardzo go interesowały, to też często zapominał o krowach, które włożyły w szkodę. Za to nieraz dostawał od ojca batem. Chcąc się uchronić od kary, zamiast pilnować krów, powiązał je przy drzewach w olszynie, aby mieć swobodną głowę przy czytaniu. Do domu przywodził krowy głodne, więc po pewnym czasie ojciec zaczął śledzić synka i odkrył całą tajemnicę. Ojciec opowiedział wszystko nauczycielowi, który już przedtem zwrócił mu uwagę na zdolność syna. Postanowiono postać go do gimnazjum w Cieszynie. Ojciec się zgodził na to, chociaż był niezamożnym gospodarzem. Chłopiec był zdolny, co wynika choćby z tego, że na wsi uczył się w polskiej szkole z jedynym nauczycielem, a potem od razu przeszedł do gimnazjum z niemieckim językiem wykładowym, bo innego gimnazjum w Cieszynie wówczas nie było. Ja go nie pamiętam, ale opowiadali mi o nim ludzie we wsi, opowiadała mi o nim moja matka, mój wuj i mój dziadek, a kiedy dorosłem, to dziadek dał mi nawet jego fotografię z datą urodzenia i śmierci. Fotografię oddałem później do Muzeum w Cieszynie.

GOSPODA – OŚRODKIEM KULTURALNYM W DATYNIACH DOLNYCH

Po ukończeniu gimnazjum cieszyńskiego udał się na studia uniwersyteckie i został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dr Jan Bystron urodził się 13 czerwca 1860 roku w Datyniach Dolnych, a zmarł 30 czerwca 1902 roku w Krakowie. Był jednym z najlepszych filologów w Europie. Dr Jan Bystron miał dużo przyjaciół w całej Polsce i za granicą. Do nich należał między innymi niejaki Świderski, gdzieś od Kijowa z Ukrainy. Przyjechał on razem z dr. Bystronem do Datyń Dolnych i zamieszkał w gospodzie u moich rodziców. Świderski pokazał miejscowej ludności w Datyniach Dolnych, jak na Ukrainie się żyło czy pszenicę. Świderski, jak później stwierdziłem, nazywał się Skirgiel-



Jan Bystroń, ur. Datynie Dolne zb. MP

lo-Świdzki i był właścicielem ziemskim na Ukrainie. On również przywiózł z sobą do Datyń sporo polskich książek, które pozostawił w gospodzie i ofiarował miejscowemu społeczeństwu. Wieczorami schodzili się chłopcy do gospody, aby czytać te książki. Zwykle jeden z nich czytał na głos, a reszta spokojnie i z zaciekawieniem słuchała. Do tych, którzy ładnie czytali i mieli odpowiednią dykcję należeli chłopcy Koszczot i Przeczek, zwany Śpiewakiem, bo zwykle śpiewał na pogrzebach. W ten sposób w latach mniej więcej 1885–1895 przeczytano w gospodzie w Datyniach Dolnych trylogię Sienkiewicza, powieści Kraszewskiego i wiele powieści innych autorów. Gospoda moich rodziców była więc w tych czasach ośrodkiem kulturalnym w Datyniach Dolnych.

OD CHŁOPSKIEGO SYNA DO MINISTRA

We wsi był jeszcze jeden zdolny chłopiec, Józef Kiedroń, na którego nauczyciel również zwrócił uwagę. Ojciec chłopca miał małe, może pięciomorgowe gospodarstwo rolne, i z trudem mógł wyżywić swą rodzinę, bo ziemia była mało urodzajna. Nauczyciel nalegał na ojca Kiedronia, aby dał syna dalej kształcić w Cieszynie. Było to jednak ze względów finansowych dla Kiedronia niemożliwym. Wtedy nauczyciel zwrócił się do mojego dziadka Józefa Pellara, który był wtenczas wójtem we wsi, o pomoc w sprawie dalszego kształcenia Kiedronia.

Z początkiem roku szkolnego dziadek zawiózł chłopca Józefa Kiedronia do miasta Cieszyna, wyszukał i wynajął mu mieszkanie w tak zwanych *siedmiu pieronkach* pod koszarani. *Siedem Pieronków* było to siedem jednorodzinnych domków parterowych przylegających do siebie. Właściciel-

kami tych domków były przeważnie wdowy, które wynajmowały pokoje studentom. W takim jednym pokoju mieszkało czterech lub pięciu studentów, zależnie od wielkości pokoju. Każdy student musiał przywieźć ze sobą łóżko, siennik i pościel. Właścicielki gotowały również tym studentom jedzenie za niewysokim wynagrodzeniem. Dziadek zapłacił za chłopca Kiedronia mieszkanie za trzy miesiące z góry. Ponieważ dziadek prowadził we wsi sklep kolonialny i sprzedaż wódek, więc znał wszystkich hurtowników w Cieszynie.

Zwrócił się do nich z prośbą o bezpłatne dawanie jedzenia chłopcu Józefowi Kiedroniowi. A więc jeden hurtownik kolonialny Weissberger, który miał hurtownię przy moście, dawał mu bezpłatnie śniadanie i obiad, a drugi hurtownik kolonialny Zuckermandel dawał mu podwieczorek i kolację. W następnym miesiącu dawał chłopcu jedzenie właściciel fabryki wódek i likierów oraz wody sodowej Moritz Fasal. W ten sposób przez trzy lata hurtownicy żywili chłopca. Kiedy Józef Kiedroń miał już ukończone trzy klasy niemieckiej szkoły realnej (polskiej wówczas nie było), to poszedł za subiekta do księgarni i składu papieru Kutzera w Cieszynie na rynku pod podcieniami. Wieczorami po zajęciach przygotowywał się do egzaminu jako eksternista z materiału klasy czwartej szkoły realnej, a na końcu roku szkolnego zdał egzamin z klasy czwartej, a rok później z klasy piątej. Ponieważ rodzice mu umarli, przestał pracować w księgarni, zamieszkał u krewnego w Błędowicach Dolnych i poszedł pracować na kopalnię, ażeby sobie zaoszczędzić coś pieniędzy na dalsze studia. Zaoszczędzone pieniądze składał u swego krewnego, u którego mieszkał. Po dwóch latach Józef Kiedroń chciał dalej studiować, więc prosił krewnego o swoje oszczędności i uskładane pieniądze, na co mu krewny oświadczył, że nie ma żadnych oszczędności, bo przecież u niego mieszkał i jadł, więc wszystkie pieniądze poszły na jego utrzymanie. Rozpłakał się młody chłopiec i poszedł do Cieszyna zdać maturę (egzamin dojrzałości) jako eksternista szkoły realnej. Potem wyjechał do Westfalii w Niemczech, żeby tam pracować w kopalni węgla. Po dwóch latach pracy zaoszczędził sobie tyle pieniędzy, że mógł zapisać się na Akademię Górniczą w Leoben w Styrii, którą ukończył i uzyskał dyplom inżyniera górniczego. Był inżynierem, później dyrektorem kopalni w Dąbrowej koło Karwiny, a po wskrzeszeniu Państwa Pol-



Józef Kiedroń

skiego został ministrem przemysłu i handlu w Warszawie. Z jego inicjatywy powstał w Polsce port morski w Gdyni.

Inżynier Józef Kiedroń urodził się 23 marca 1879 roku w Datyniach Dolnych, umarł 25 stycznia 1932 r. i jest pochowany na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie. Był ministrem w latach 1923–1925. Był on pracownikiem narodowym na Śląsku Cieszyńskim i Górnym.

JAKIE BYŁY NAZWISKA WE WSI DATYNIE DOLNE OKOŁO ROKU 1900?

Babilon, Bałton, Bystroń, Chmiel, Chowaniec, Czyż, Eckert, Fikoczek, Folwarczny, Fukala, Gałgonek, Glac, Hekera, Herbocek, Jasiok, Jarosz, Jureczek, Kiedroń, Kielar, Klimsza, Kniezek, Kołder, Kołorz, Koszczot, Kotula, Korzusznik, Kubiczek, Łabudek, Miczka, Nowak, Olszar, Onderek, Ożana, Pastucha, Pawlas, Pellar, Pietrus, Piper, Pitucha, Prymus, Przeczek, Rajdus, Santarius, Siwy, Słowik, Sprstek, Szarowski, Szymik, Śliwa, Toman, Waszyczek, Zaruba.

Nie ująłem wszystkich nazwisk obywateli wsi Datynie Dolne, ale nazwisk tych nawet więcej nie było, niejedno z nich powtarzało się kilkanaście razy. Dla odróżnienia osób o tych samych nazwiskach stosowano różne przydomki, np.: Bałton – Kuban, Krajczy; Gałgonek – spod Szkoły, z Kopca; Klimsza – Myrzok, Siekierczka; Kołorz – z Losku, z Kępki; Kotula – ze Młyna; Koszczot – z Losku, Cahlik; Pastucha – z Kopca, z Lasku; Pawlas – Janczyk, Lorenc; Pietrus – Czadzik; Piper – z Glinika; Przeczek – Matysek, Pieter, Sikorka, Śpiewok; Szymik – spod Lasu, ze Stawu, Kordybanik; Toman – z Babiej Góry, z Burgu, Pinkus.

ciąg dalszy nastąpi.

MARIA SZOTKOWSKA: OSTATNIA Z PARTYZANTEK ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

OPRACOWANIE: BEATA INDITYRNA / ZDJĘCIA: ARCHIWUM RODZINNE

Maria Szotkowska, po pierwszym mężu Richter, z domu Ryłko, urodziła się 11.12.1924 r. w Jabłonkowie, gdzie mieszkała całe swe życie. Zmarła 2.12.2023 r. tamże. Była najprawdopodobniej ostatnią żyjącą członkinią ruchu oporu podczas II wojny światowej na Śląsku Cieszyńskim.

W latach 1943–1945 brała aktywny udział w konspiracji. Była łączniczką w strukturze grup partyzanckich ZWZ w Obwodzie Jabłonkowskim (kryptonim *Wylew*). Wchodziła w skład grupy partyzanckiej dowodzonej przez swego ojca Michała Ryłkę. Członkami byli również m.in. jej brat Bolesław Ryłko, okresowo też Stanisław Richter. Stanisławowi Richterowi podlegały zarazem, jako komendantowi Obwodu, pozostałe grupy AK. Komendant miał wówczas kwaterę konspiracyjną w domu rodziców Marii. Dom ten był także punktem kontaktowym.

Maria Ryłko została w tym okresie narzeczoną Stanisława Richtera i początkiem roku 1943 tajnie zawarła z nim związek małżeński. Związek błogosławił ks. Józef Adamecki – ówczesny wikary w Jabłonkowie (ksiądz działał do czasu swego aresztowania w marcu 1943 w konspiracji, jako członek siatki wywiadowczej AK *August*).

W tym okresie rozkazem komendanta Śląskiego Okręgu AK dochodzi do likwidacji Obwodu Jabłonkowskiego. Równocześnie doszło do zmiany nastrojów politycznych miejscowego podziemia. Rozluźniły się więzi między grupami byłego Obwodu. Część związała się z sowiecką grupą wywiadowczą majora Griniewskiego (*Gruby Miś*), np. partyzancki oddział *Kozubowa*. Stanisław Richter (*Kostrzewa*) nawiązał kontakt z PPR i został komendantem ugrupowania AL *Barania Góra*. Dowodził z powodzeniem 70 osobowemu ugrupowaniu w walkach z okupantem, co go jako chorego na płuca nadmiernie wyczerpało.

W lutym 1945 przekazał komendę Ernestowi Legierskiemu i wrócił do Jabłonko-





wa, do kwatery u Rytków. Dzięki troskliwej opiece, szczególnie swej żony Marii, „Kostrzewa” szybko wrócił do zdrowia. W kwietniu włączył się do działań bojowych. Niestety, na skutek zdrady, wspólnie z 21-letnim szwagrem Bolesławem Rytką i Janem Sikorą wpadli w zasadzkę w schronisku na Kozubowej. Podczas przesłuchania na gestapo w Łomnej Dolnej zostali bestialsko skatowani, jednak nikogo nie wydali. Następnie zaprowadzono ich z powrotem pod Kozubową, gdzie zostali rozstrzelani. Wszystko to miało miejsce na niespełna miesiąc przed wkroczeniem Armii Czerwonej. 28-letni Stanisław Richter osierocił nieco ponad rocznego syna Ryszarda.

Dokładnie tamte wydarzenia opisała Otylia Toboła w rozdziale *Partyzancka opowieść z happy endem*. W najnowszym wydaniu książki *Lutyńskie Tango* od str. 61.

NIEJEDEN RAZ OCALAŁA DZIĘKI ZACHOWANIU ZIMNEJ KRWI

Dotychczas niepublikowanymi wspomnieniami o babci dzieli się natomiast Leszek Richter. Wyjaśnia, że w ruchu oporu aktywnie działała cała rodzina jego babci. Stanisława Richtera, przyszłego męża poznała, gdy ukrywał się w ich domu.

– *Babcia jako łączniczka zaopatrywała w broń, opatrunki i żywność oddział partyzancki dowodzony przez jej męża. Bez względu na porę roku chodziła nocą, pieszo, z Jabłonkowa aż do Istebnej. Opowiadała, że ją samą, i całą jej rodzinę traktowano jak zarazę. Większość nie utrzyma-*

wała z nimi kontaktów, obawiając się represji ze strony okupantów. Babcia wspominała, że gdy szukała schronienia, to trudno było jej znaleźć je nawet wśród rodziny. Podczas jednego z nalotów gestapo na ich dom na Pastuszce (Jabłonków 329) dostojnie w ostatnim momencie udało jej się uratować. Mówiła, że gdyby wtedy spanikowała, to zapewne by ją złapali. Ale udawała, że nie jest z tego domu i starając się iść spokojnie, miarowym krokiem oddaliła się przez okoliczne pola. Szukała schronienia u rodziny w Mostach, lecz go nie otrzymała. Przez około pół roku ukrywała się na Lyskach, schowana pod podłogą w kozim chlewiku, przez co była traktowana przez zwierzęce odchody. Jednak była tej zacnej rodzinie, która przyjęła na siebie ogromne ryzyko, ukrywając ją, niezmiernie wdzięczna – Leszek Richter powtarza relacje babci, zauważając, że była osobą skromną, która niechętnie powracała do tamtych koszmarnych czasów.

– *Nigdy się nie obnosiła z tym, że była w partyzantce. Jestem jedną z niewielu osób, którym opowiedziała o tych bolesnych, traumatycznych i tragicznych w skutkach przeżyciach – stwierdza Richter.*

Kolejna historia, jaką podzieliła się z wnukiem Maria Szotkowska, dotyczy wędrowni zimową nocą z Jabłonkowa do Istebnej, z zaopatrzeniem dla partyzantów. Po raz kolejny dzielna, młodzietka łączniczka ocalała dzięki zachowaniu zimnej krwi.

– *W pewnym momencie wyszła z lasu, żeby przejść przez drogę, kiedy zniemacka z dołu pojawiły się sanie. O tej porze saniami mogli jechać tylko Niemcy. Nie spanikowała i nie uciekła w las, chociaż bardzo ją kusilo. Szła drogą w górę, w kierunku centrum Istebnej. Miała ze sobą walizkę wyładowaną opatrunkami i lekami dla partyzantów. Nie pozbyła się jej, ponieważ Niemcy mogli to zauważyć. Wkrótce podjechali do niej i zapytali, gdzie idzie. Odpowiedziała, że do koleżanki do Istebnej. Zaproponowali, że ją podwiozą. Oczywiście nie odmówiła i wskoczyła na sanie. Gestapowcy widząc walizkę zapytali, co w niej ma, a ona rezolutnie odpowiedziała, że opatrunki i leki dla partyzantów. Niemcy zbaranieli, spojrzeli na siebie z niedowierzaniem i... wybuchnęli śmiechem, a ona do nich dołączyła. Byli przekonani, że sobie żarty z nich stroi. Tym niemniej jeden z tych Niemców spróbował otworzyć walizkę. Była to jednak bezskuteczna szamotanina, zamek się zaciął. Przy czym podczas załadunku w domu zamek działał bez zarzutu. W końcu dał sobie spokój i gdy po krótkim czasie dojechali do centrum, to powiedzieli, że ją wypuszczą, ale pod warunkiem, że razem z tą koleżanką przyjdzie za nimi na Gestapo i będą razem imprezować. Babcia oczywiście się zgodziła. Wysadzili ją i pojechali na posterunek, a ona poszła swoją drogą, do partyzantów – powtarza wspomnienia babci Richter.*

– *Pod sam koniec wojny, podczas kolejnej rewizji w domu Rytków na Pastuszce jeden*





menty, które w dzisiejszych czasach nazwalibyśmy okresami depresji – stwierdza Richter. Pomimo gorszych okresów, w których najprawdopodobniej powracały bolesne wspomnienia i przeżyte wojenne traumy nie pozwalając jej cieszyć się w pełni teraźniejszością, do końca zachowała dobroć i życzliwość dla ludzi.

– Po wojnie jeden z konfidentów, który miał na sumieniu partyzantów, przyszedł za moją babcią i błagał, by go nie wydała. Nie wiem czy babcia mu wybaczyła. Ale go nie wydała... – wspomina Richter.

Jakiś czas po wojnie wyszła ponownie za mąż. Z Józefem Szotkowskim nie mieli wspólnych dzieci. On miał dwóch synów z poprzedniego związku, których Leszek Richter wspomina jako wujków, a jego samego jako swojego kochanego dziadka. Maria Szotkowska z domu Rytko miała dwóch starszych braci, Władka i Bolka, najmłodszym z rodzeństwa był Emil, ojciec Jana Rytki, prezesa MK PZKO w Jabłonkowie oraz stowarzyszenia Rodzina Katyńska w RC. Doczekała się dwóch wnuków, czterech prawnuków (a dokładnie trzech prawnuków i jednej prawnuczki) i jednej praprawnuczki, którą zdążyła jeszcze zobaczyć przed swoją śmiercią.

z Niemców był tak zdesperowany, że chcąc wymusić na babci informacje na temat miejsca kryjówki partyzantów, porwał za nogi wtedy nieco ponad rocznego mojego ojca i zagroził jego roztrzaskaniem o ścianę. Od wykonania groźby w ostatniej chwili powstrzymał go oficer. Jak się później okazało Austriak z Wiednia. Już po tym, jak po egzekucji na partyzantach, tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej, kiedy Niemcy zaczęli się wycofywać, oficer ten powiedział babci, że wiedział, kim jest jej mąż. Wpadła mu w oko i dlatego uratował jej dziecko, a teraz proponuje jej, że chętnie się nimi zaopiekuje w Wiedniu. I tak oto uratował życie mojego ojca, a w konsekwencji również moje – kończy snucie wspomnień o wojennych losach babci Leszek Richter.

kowskim Ratuszu. Do jej obowiązków należało m. in. udzielanie ślubów. – W pracy zawsze uśmiechnięta, życzliwa, ciepła, miła – tak wspominają ją ludzie.

– W życiu prywatnym bywało różnie. Maski nie da się nosić cały czas... miała więc mo-

(Na podstawie wniosku o odznaczenie Marii Szotkowskiej przygotowanego przez Zygmunta Stopę oraz wspomnień wnuka Leszka Richtera opracowała Beata Indi Tyrna)

PO WOJNIE

Jaka była po wojnie? Pomimo traumatycznych przeżyć w Jabłonkowie zapamiętano ją jako osobę niezwykle pogodną. Całe zawodowe życie przepracowała w jabłon-





NIE ŻYJE PAWEŁKA NIEDOBA

Rok 2023 zakończył się bardzo smutno dla środowiska teatralnego Zaolzia. 30 grudnia zmarła Pawełka Niedoba, aktorka i długoletnia kierowniczka Teatru Lalek *Bajka*. Zespół prowadziła od roku 1993 do roku 2009. Mali widzowie nazywali ją *Pani Bajka*.

Pawełka Niedoba, z domu Nędza, urodziła się w 1943 roku w Szumbarku, gdzie rozpoczęła naukę w miejscowej szkole. Szkołę wydziałową ukończyła w Błędowicach. Później uczyła się w Gimnazjum w Orłowej.

POCZĄTKI W SCENIE POLSKIEJ

Brała udział w kursach teatralnych organizowanych przez Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i tam właśnie odkrył ją Franciszek Michalik, który później zaangażował ją jako aktorkę w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Ze sceną tą była związana od marca 1961 roku do roku 1978, zagrała 45 ról scenicznych.





PIERWSZE KROKI W BAJCE

W *Bajce* została zaangażowana w 1978 roku. Wtedy kierownikiem teatru był Bronisław Liberda. – *Broniek Liberda, który był wtedy szefem, oprowadził mnie po wszystkich biurach, przedstawił pracownikom. Potem poszliśmy na górę. Zespół pracował nad „Balladą o bochenku chleba” Edmunda Wojnarowskiego. Usiedliśmy do stołu i Broniek mówi: „Ty groź Piekorza, Cukrorza i Łowczego. A jadymy”. Dla mnie to był szok, w Teatrze Cieszyńskim przy stole najpierw przeprowadzaliśmy analizę, a tu wszyscy w zespołe już przygotowani, ja nie bardzo. Takie właśnie było moje pierwsze zetknięcie z tym teatrem, z moim pierwszym szefem Bronkiem Liberdą – wspominała w wywiadzie dla „Głosu Ludu” udzielonym w 2008 roku.*

PANI BAJKA

Pawełka Niedoba była nie tylko aktorką i kierownikiem. Dla małych widzów była Panią Bajką. Nawiązała do swoich poprzedniczek-gawędziarek Elżbiety Żebro, Wandy Serwatki, Krystyny Mrózek. Wychodziła przed każdym przedstawieniem do dzieci i rozmawiała.

Znała bardzo dobrze swoich widzów. – *O naszych widzach i wspaniałych chwilach z nimi można by napisać książkę. Dzieci są niesamowicie bezpośrednie. I co najważniejsze, jeżeli ich nie interesuje przedstawienie, to nie siedzą cicho, jak dorosły widz, bo tak wypada. Jak się nie podoba, to dziecko się odwraca, niczego nie udaje. Widz dziecięcy jest niesamowity. Czasami czuję się jak „kwóczka”, przybiegają do mnie. Pamiętam, kiedyś przed przedstawieniem zapytałam dzieciaczków, gdzie były na wakacjach. I odpowiadały: „Jo se kómpot w Jugostawii!”, drugi szybko się głośił: „A jo tam*

a tam”. Więc pytam następnego „A ty?” a dziecko odpowiada: „A jo z tatóm we wanie”. Jakieś dziecko mówiło, że było w Ta-trach. Więc pytam szybko: „Co tam widziałeś?”, na co dostałam odpowiedź: „Kuminiorza na motorce” – wspominała w wywiadzie chwile z małymi widzami.

TEATR Z MISJĄ

Z teatrem odwiedzała wszystkie szkoły i przedszkola na Zaolziu. – *Wsiadamy do naszego pięknego samochodu, zimnego, zardzewiałego od góry aż na dół. Przeskakujemy przez te dziury w samochodzie, żebyśmy do nich nie wpadli i jedziemy. Gramy w różnych miejscach, np. w klasach, czasami prosimy, byśmy mogli zagrać chociażby w restauracji, gdzie byłoby ładniej, odświętniej – opowiadała.*

Praca w teatrze lalek nie była dla niej zwykłym zawodem, to była misja. Rozumiała doskonale Zaolzie, jego problemy i potrzeby. Nie odmawiała pomocy. Doskonale pamiętali ją mali recytatorzy, pracowała bowiem również jako jurorka konkursów recytatorskich.

LUBIANA PRZEZ ZESPÓŁ

Była też wspaniałą koleżanką teatralną. – *Była świetnym partnerem na scenie, bardzo dobrze się z nią grało. Pamiętam taką sytuację, jak graliśmy w jakimś przedszkolu. Już była zbudowana scena, Pawełka wychodzi przed scenę i wita dzieci. I nagle z pierwszego rzędu przychodzi taki maluszek i mówi: „Jo chcym do wychodka”. No i Pawełka dziecko zaprowadziła. Ona żyła dla tego teatru. Choć była chora, miała grypę, to przychodziła do teatru. Zawsze uśmiechnięta, miła, sympatyczna. No i była damą. Chodziła w szpil-*

Tak wspomina swoją byłą kierowniczkę zespół Sceny Bajka Teatru Cieszyńskiego:

Pawełka kochała dzieci i to dzięki temu zaczęła się jej przygoda z Bajką. Znały i kochały ją generacje małych widzów ze szkół na Zaolziu, bo przecież wszyscy regularnie chodzili na spektakle *BAJKI*. Dla dzieci była to *Pani Bajka*.

Pawełka Niedoba była nie tylko aktorką – lalkarzem, jako kierowniczka dbała również o dobór repertuaru, zapraszała do współpracy reżyserów i scenografów. *Bajka* była jej światem i razem z kolegami aktorami współtworzyła zespół, który był i jest po dziś dzień jedną wielką rodziną. Fascynacja lalkami, satysfakcja z pracy i nieustanne bycie w towarzystwie uśmiechniętych dzieci było obustronną radością i zadowoleniem przynoszącym wiele pożytku. Kierowniczką *BAJKI* Pawełka Niedoba była w latach 1993–2009.

Wielu utkwiała w pamięci również jako aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, przypomnijmy choćby spektakl „Janosik, czyli na szkle malowane” z 1976 roku, gdzie zagrała razem ze swoim mężem Pawłem i z teściem Władysławem.

Pawełko, dziękujemy Ci, nie zapomniemy. Niech Cię prowadzą uśmiechy Twoich niezliczonych małych widzów i wdzięczność wszystkich, którzy rozumieją znaczenie Twojego wkładu w kształtowanie osobowości dzieci, ich edukację, wprowadzanie maluchów w świat sztuki teatralnej i dzielenie się pięknymi wrażeniami i mądrością.

Tvoja Bajka

kach, w sukience, bardzo dbała o swój wygląd – wspomina Renata Humel, która pracowała z Pawełką przez lata w Bajce.

Dodaje, że Pawełka kochała zwierzęta. – *Kotki i pieski, nawet takie bezdomne, zabierała je do domu w Cieszynie – zdradza Renata Humel i dodaje, że kolejną pasją Pawełki było gotowanie. Lubiała się dzielić przepisami. – Jak spojrzę do swojego zeszytu z przepisami, to większość mam właśnie od niej.*

W *Bajce* Pawełka Niedoba pracowała do roku 2010, kiedy to odeszła na emeryturę. (HS)

MEŹCZYŹNI WIEDZĄ NAJLEPIEJ

TEKST: CZESŁAWA RUDNIK / ZDJĘCIA: KARIN DZIADEK

Choć nieco paradoksalnie brzmi twierdzenie, że pandemia koronawirusa miała swoje pozytywne strony, to jednak w wypadku tej inicjatywy taką tezę można postawić. Przedstawienie *Garderoba damska* rodziło się w okresie, kiedy teatry nie grały, a aktorzy i widzowie siedzieli zamknięci w swoich domach.

Pomysłodawcą spektaklu, który powstał jako projekt Sceny Inicjatyw Aktorskich w ramach działalności Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, był człowiek wielu talentów, występujący nie tylko pod własnym nazwiskiem, ale używający też pseudonimu artystycznego, Tadeusz Hankiewicz – Zbyšek Radek.

Wierni widzowie Sceny Polskiej pamiętają go z przedstawień prezentowanych w latach 1989–1990. Wtedy też został współreżyserem i jednym z wykonawców *Emigrantów* Sławomira Mrożka (rolę XX uważa za najważniejszą w swej karierze), polsko-czeskiego projektu sceny studyjnej Teatru Cieszyńskiego.

Na deski tego teatru powrócił jako aktor w 2018 roku. Przejął kilka znaczących ról w widniejących dłużej w repertuarze pozycjach po zmarłych przedwcześnie aktorach. Możemy go podziwiać w kolejnych premierach Sceny Polskiej, każda z kreowanych przez niego postaci warta jest obejrzenia.

Swoje refleksje o przedstawieniach, w których zagrał, zawarł w formie wierszowanej satyry w wydanej niedawno publikacji *Niewymuszona historia Sceny Polskiej*.



Został w ten sposób godnym następcą Witolda Rybickiego, nieżyjącego już aktora i reżysera, który przez kilka dziesięcioleci podsumowywał wydarzenia w Teatrze Cieszyńskim swoimi wierszami.

Tadeusz Hankiewicz jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Grał w teatrach w Warszawie,

Opolu, ale przede wszystkim występował w Krakowie, jako aktor, reżyser, scenarzysta, pedagog, we własnych przedsięwzięciach, teatrze, kabarecie. Był współzałożycielem Stowarzyszenia Teatr Tradycyjny, promującego m.in. twórczość fikcyjnego czeskiego autora Járy Cimrmana.

Jedną z ról w czeskokieszyńskiej *Garderobie damskiej* zagrała Dagmara Foniok. Pochodząca z Zaolzia aktorka jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, grała w Czeskim Cieszynie, poza tym w teatrach w Łodzi, Warszawie, Opolu, no i Krakowie.

Prywatnie żona Tadeusza Hankiewicza sekundowała mu w jego inicjatywach i robi to nadal. W Krakowie razem prowadzili teatr, działali w kabarecie, szkole aktorskiej. W latach 1969–1972 oraz 1989–1991 pracowała Dagmara Foniok w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego, obecnie, kiedy zamieszkała w Czeskim Cieszynie, gościnnie występuje w jej spektaklach.

W kręgu zainteresowania państwa Hankiewiczów czeskim teatrem znalazła się także twórczość Arnošta Goldflama, autora *Gar-*



deroby damskiej. Urodzony w 1946 roku w Brnie Goldflam studiował tam w akademii teatralnej JAMU, jest pisarzem, reżyserem, aktorem, pedagogiem. Ma żydowskie korzenie, ojciec pochodził z Wiednia, matka była Polką spod Lwowa.

Autor *Garderoby damskiej* przyznał, że lubi pisać dla kobiet, stara się pojąć ich mentalność. Sztuka powstała jako podziękowanie dla aktorek, z podziwu dla nich za ich pracę w teatrze i troskę o dom, za wywiązywanie się z obowiązków, których często mają więcej niż mężczyźni, a potrafią im sprostać, pozostając pięknymi, mądrymi, wspaniałymi kobietami.

Garderoba damska, w najszerszym tego słowa znaczeniu, czyli cała odzież dla pań, od bielizny po kapelusze, buty, torebki, umieszczone w garderobie, odpowiednim pomieszczeniu z półkami, wieszakami, lustrami, a w środku kobieta, bezradna, bo nie ma się w co ubrać, to byłby dopiero temat. Tego nie ogarnąby żaden mężczyzna. Chyba.

W sztuce Arnošta Goldflama temat zawężony został do garderoby teatralnej, szatni, w której aktorki przebierają się w kostiumy, przeprowadzają charakteryzację, czekają na moment swego wejścia na scenę, ale też plotkują o tym, czym żyją poza pracą. Podsluchane przez autora sztuki rozmowy przeniesione zostały na papier i ujęte w sposób artystyczny.

Mężczyźni wiedzą najlepiej, co dzieje się w garderobie damskiej, wynika z dramatu, którego adaptacji w ramach Sceny Inicjatyw Aktorskich dokonał Zbyšek Radek. Jest też reżyserem przedstawienia, autorem



scenografii. Z zamieszczonej z nim w programie do spektaklu rozmowy wynika, że mężczyzna nie potrafi jednak tak do końca zrozumieć sposobu myślenia kobiety. Co nie przeszkodziło mu w przygotowaniu ciekawego przedstawienia.

Na pewno pomogła mu w tym współpracą z Dagmarą Foniok podczas tłumaczenia tekstu Arnošta Goldflama na język polski oraz z pozostałymi aktorkami, biorącymi udział w tym przedsięwzięciu, których wpływ na kształt spektaklu mógł być tu bardzo znaczący. Satisfakcjonujące dla niego było to, że „pracował nad czym, z kim i jak chciał”.

Garderobę damską zajmują cztery aktorki, przedstawicielki różnych pokoleń. Seniorka Liza (Dagmara Foniok) ma tu swoją wyrobioną pozycję, ale wydaje się też z racji najbogatszych doświadczeń życiowych najbardziej zdystansowana. Na ścianie wisi plakat, autentyczny, z przedstawienia, w którym zagrała w Scenie Polskiej jako młoda dziewczyna.

Najwięcej szczegółów z prywatnego życia odkrywają podczas rozmów, z łatwością przechodząc przez różne stany emocjonalne, Truda i Maria. Zagrały je wieloletnie aktorki Sceny Polskiej Anna Paprzyca, która w Teatrze Cieszyńskim jest od 1992 roku, oraz pochodząca z Zaolzia Barbara Szotek-Stonawski, związana ze Sceną Polską przez całe zawodowe życie.

Odeszła po kilkunastu latach z teatru w Czeskim Cieszynie do pracy pedagogicznej Joanna Litwin, która w *Garderobie damskiej* wcieliła się w postać Klary, najmłodszej, pełnej werwy i ambicji, ale też wahań i wątpliwości, dziewczyny w tym zespole aktorskim. Zespole najwidoczniej rodzimym, bo występuje akurat, jak słyszemy w dialogu, w Stonawie.

Premiera przedstawienia odbyła się w czerwcu 2021 roku. Grane było kilkakrotnie na Zaolziu oraz w Polsce, m.in. podczas Przedwiośnia Małych Form Teatralnych w Limanowej, na Festiwalu Dramaturgii Współczesnej w Zabrze, w Domu Narodowym w Cieszynie.

W 2023 roku Zarząd Główny PZKO zdobył z Polski dotację, dzięki której zagrano kolejne spektakle. *Garderobę damską* obejrzeli widzowie w ramach Dni Polskich w Ostrawie oraz w Kołach PZKO w Jabłonkowie, Hawierzowie-Błędowicach czy Piotrowicach koło Karwiny.

Arnošt Goldflam *Garderoba damska*. Tłumaczenie Dagmara Foniok i Zbyšek Radek, adaptacja, reżyseria i scenografia Zbyšek Radek, kostiumy Agata Kokotek. Premiera: Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie w ramach Sceny Inicjatyw Aktorskich, 12 czerwca 2021.





[42] Dom PZKO

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

LESZNA DOLNA

CZ. 2

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA

Kontynuujemy spacer po Lesznej, na który nas zabrała Renata Szkucik – prezes Miejsowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego Leszna Dolna. Towarzyszył nam także jej mąż Tadeusz Szkucik – kronikarz MK.

PIEKŁO

Idziemy pomiędzy zabudowaniami Faszystowskiej Kolonii i wychodzimy na drogę biegnącą przez centrum Lesznej. Skręcamy w prawo i dochodzimy do remizy strażackiej (fot. 27). – *Kiedyś na to miejsce mawiano Piekło. W latach 70. XIX wieku był w tym miejscu jeden z pierwszych wapienników na terenie Lesznej. Buchał tutaj ogień, leciała para, śmierdziało, dlatego ludzie nazywali to miejsce Piekło* – wyjaśnia Szkucik. I dodaje, że wapiennik zburzono w 1964 roku, a w 1986 r. wybudowano w jego miejscu remizę ochotniczej straży pożarnej.

[27] Remiza straży pożarnej ►





[28] Polskie przedszkole



[29] Ścieżka między płotem przedszkola a potokiem Lesznica

PRZEDSZKOLE I DAWNA ŚWIETLICA PZKO

Skręcamy w prawo i idziemy do przedszkola *Miś* (fot. 28). – *Nie idziemy tędy dlatego, że nasz wnuczek tutaj chodzi do przedszkola* – mówi Renata Szkucik. – *W czasach przedwojennych tzw. ochronka była o kilkaset metrów wyżej. A tu, w tym budynku, jest od roku 1948. Jestem absolwentem tego przedszkola* – dodaje Tadeusz Szkucik.

Idziemy ścieżką pomiędzy płotem przedszkola a potokiem Lesznica (fot. 29). Wychodzimy wprost na prywatny obecnie budynek o znaczącej dla MK PZKO historii (fot. 30) i (fot. 31). – *Właśnie w tym budynku 3 sierpnia 1947 roku rozpoczęło działalność MK PZKO w Lesznej. Było podium z zadaszeniem dla orkiestry, budki gastronomiczne. A bale czy zebrania robiło się w gospodzie* (fot. 31). *Budynek ten był filią Domu Robotniczego w Trzyńcu. Mieściła się*

też w nim filia nr 59 Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego dla Śląska w Łazach – wyjaśnia Szkucik.

GOSPODA U OBRACAJA

Mijamy restaurację *U Obracaja* z odnowioną elewacją. – *Kiedyś była tutaj rzeźnia i dom mieszkalny Jana Obracaja* (fot. 32) i (fot. 33) – wyjaśnia Szkucik. Dochodzi-

[30] + [31] Pierwsza siedziba MK PZKO Leszna



[32] + [33] Gospoda U Obracaja





[34] Dawna kuźnia



[39] Dawna droga do Ustronia przecinająca obecną nową, asfaltową jezdnię prowadzącą do granicy państwowej.

my do drogi biegnącej przez centrum Lesznej. Gdybyśmy skręcili w prawo, to doszlibyśmy do Domu PZKO. Tam jednak pójdziemy nieco później. Wpierw kierujemy się prosto w górę, w stronę nowej drogi prowadzącej do granicy państwowej.

– Była tutaj jedna z pierwszych w Lesznej gospoda. Nazywało się to „Dom Zajezdny” – mówi Szkucik pokazując zdjęcie z 1903 roku. – Wybudował go jeden z mieszkańców Lesznej – Adam Buzek. Naprzeciwko była kuźnia Alfreda Plasuna (fot. 34). Właściciel gospody i kowal żyli w symbiozie. Bo jak ktoś przyjeżdżał kuć konie, to w czasie, gdy kowal kuć konie, ich właściciel szedł do gospody na piwo – opowiada o czasach międzywojennych mój przewodnik.

Wspinamy się asfaltową drogą w górę. – Mówiono na to Niemców Kopiec. Wynikało to z faktu, że Buzek, który wybudował tutaj gospodę, miał zięcia o nazwisku Nemetz.

[35] Krzyż



Po śmierci Buzka przejął on gospodę. Ta droga była wtedy główną drogą przez Lesznej. Tamtej górnej drogi kiedyś nie było, jeździło się tędy. Zimą autobusy miały problem tędy wyjechać. Jak było trochę ślisko, to autobus nie był w stanie wyjechać i musieliśmy iść pieszo – wspomina Renata Szkucik.

Na skrzyżowaniu starej i nowej drogi, po prawej stronie, znajduje się krzyż (fot. 35). Ufundował go Buzek – ten sam, który wybudował wspomnianą gospodę. Za krzyżem

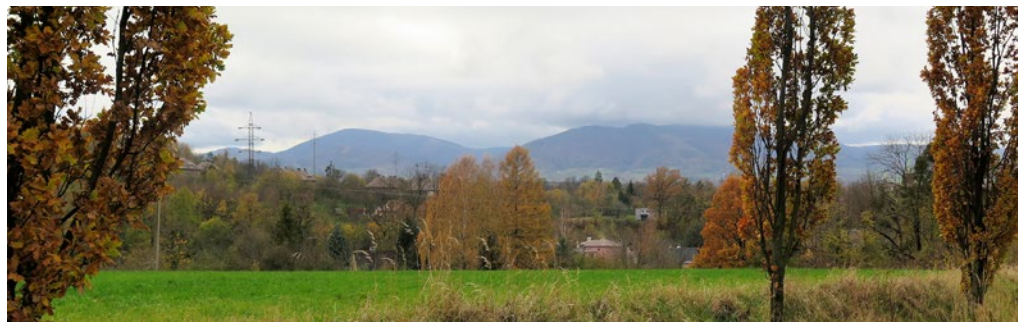
natomiast widać piękną panoramę gór (fot. 36) w kolejności Grodzisko, Mała Czantoria, Wielka Czantoria, Wróżna i Jagodna.

Skręcamy w prawo, w główną drogę. Po prawej stronie widzimy przepiękny krajobraz z Ostрым i Jaworowym w tle (fot. 37) oraz następny, z Jaworowym, Godulą i Hutą Trzyniecką (fot.38). Renata Szkucik tłumaczy, jak dawniej, nim 20 lat temu wybudowano nową drogę prowadzącą z Trzyńca do granicy, przebiegała tędy ta stara.

[36] Panorama gór: Wróżna, Jagodna, Grodzisko, dalej Mała i Wielka Czantoria



[37] Krajobraz z Ostрым i Jaworowym w tle



[38] Następny krajobraz z Jaworowym, Godulą i Hutą Trzyniecką





[40] Głaz z tablicą upamiętniającą ofiary II wojny światowej

– A tam, w tym obecnie mieniącym się kolo-rami lesie, jest pozostałość po tzw. zaporze. Był tam zbiornik, do którego pompowano wodę z popiołem z elektrowni z huty – dodaje Tadeusz Szkucik. Wyjaśnia, że w 1963 roku poprowadzono z huty przez całą wieś rury o średnicy około 50 cm – W terenie sporo jeszcze jest tych słupów po tym rurociągu – Tadeusz Szkucik nie raz na trasie spaceru wskazuje na któryś z nich (fot. 43).

CHAŁUPKI

– Tędy biegła droga, która nazywała się Wielodroga. Prowadziła z Trzyńca, przez Leszną do Ustronia w czasach, gdy huta w Ustroniu i w Trzyńcu tworzyły jeden kompleks – Tadeusz Szkucik wskazuje na przecinające obecną asfaltową drogę ślady po dawnym, polnym trakcie.

Moi przewodnicy wyjaśniają, że kilka domów rodzinnych widocznych nieco w dali, po lewej stronie głównej drogi, to najmniejsza spośród lesznieńskich dzielnic – Chałupki. – W latach 50. było tutaj pole. Huta Trzyniecka chciała zrobić coś fajnego dla swoich robotników i ogłosiła taką akcję: ludzie, damy wam za darmo budulec: wapno, kamień, cegłę, piasek, żwir, dostaniecie

plan, dostaniecie miejsce i wy sobie sami wybudujecie według tego projektu dom – Tadeusz Szkucik wspomina historię powstania w tym miejscu kilkunastu jednokowych domków, które ludzie zaczęli nazywać chatupki.

SZKOŁA I POMNIK

Skracamy w prawo, w ścieżkę, będącą dawniej drogą do Ustronia (fot. 39). Mijamy m.in. żydową chatupę (Moi przewodnicy wyjaśniają, że przed II wojną światową mieszkali w Lesznej dwie żydowskie rodziny – jedna właśnie tutaj. Druga z nich posiadała kawałek dalej miejscowy sklep spożywczy). Kierujemy się w dół i, mijając budynek dawnej polskiej szkoły, dochodzimy do głazu z tablicą upamiętniającą ofiary II wojny światowej (fot. 40). Autorem pomnika jest znany rzeźbiarz Franciszek Świder.

– Odślonięto go w 1968 roku. Jest to majątek gminy, gmina dba o to, by była wokół niego wykoszona trawa, natomiast my, jako PZKO, dbamy o to, by były tutaj kwiaty – wyjaśnia Szkucik.

Polska szkoła natomiast (fot. 41) została wybudowana przez mieszkańców Lesznej w roku 1910. Istniała ona do 1969 r.

[43] Jeden z betonowych słupów będących pozostałością po rurociągu tłoczącym odpady z elektrowni przy hucie



[41] Polska szkoła

W międzyczasie w jej lokalach znajdowała się także szkoła czeska (1922–1923 oraz 1945–1969). – Wtedy to szkoła polska zajmowała piętro, a szkoła czeska parter – wspomina Szkucik. Tak było aż do zamknięcia szkoły w roku 1969.

DOM PZKO

Stąd jest kawałek do domu PZKO (fot. 42, str. 40). – Aktualnie zdjęty jest sztyld, gdyż będziemy robić go podświetlany – Renata Szkucik wskazuje na świeżo odnowioną elewację lesznieńskiego Domu PZKO. Sam dom w ostatnich latach przeszedł gruntowną modernizację tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. Budynek mieści dużą salę na 140 osób ze sceną i zapleczem, mniejszą salę na 30 osób, profesjonalnie wyposażoną kuchnię, hol, sanitariaty, stylową piwnicę, a także 3 pokoje noclegowe.

GRODZISKO

Od Domu PZKO kierujemy się znów w górę, w stronę nowej drogi. Po drodze Tadeusz Szkucik wskazuje na kolejny betonowy słup będący pozostałością po rurociągu tłoczącym odpady z elektrowni przy hucie (fot. 43).

[44] Jeden z najstarszych zachowanych domów w Lesznej





[45] Droga od Domu PZKO w stronę drogi do granicy



[46] Grodzisko

Nieopodal jednego z najstarszych domów w Lesznej (fot. 44) skręcamy w lewo. Idziemy drogą w górę (fot. 45), w stronę wzniesienia nazywanego Grodzisko (fot. 46), o którym moi przewodnicy wspominali, gdy widzieliśmy go wcześniej. – O tym, jaką funkcję wzniesienie to pełniło w średniowieczu, już mówiliśmy. Związana jest z nim też o wiele nowsza historia, z czasów II wojny światowej. Od wakacji 1939 roku, czyli miesiąc przed wybuchem II wojny światowej, w budynku polskiej szkoły zakwaterowani byli żołnierze Wojska Polskiego. Ich zadaniem było w razie napaści Niemiec bronić przejścia w głąb Polski. Stacjonowało tam 80 Podhalańczyków. Przez całe wakacje chodzili tutaj, do Grodziska, ćwiczyć. Jeszcze teraz, jakby tam pójść, znalazłoby się pozostałości okopów, które wtedy wykopali. Ciekawym wydarzeniem z tamtych czasów tuż przed wojną jest to, że Leszianie przekazali stacjonującemu w polskiej szkole wojsku polskiemu dar w postaci ciężkiego karabinu maszynowego. Zrobili zbiórkę, z zebranych funduszy go zakupili. A zaszczyt osobistego przekazania przypadł kierownikowi tutejszej polskiej szkoły Jerzemu Tomoszkowi. 1 września w godzinach dopołudniowych Niemcy wkroczyli już i do Lesznej Dolnej i rozegrała się potyczka między

Wehrmachtem a stacjonującym tu Wojskiem Polskim, do którego dotoczyli młodzi ludzie z tzw. Przystosobienia Wojskowego (PW) – polskiej przedwojennej organizacji paramilitarnej, która działała również w Trzyńcu. Z powodu dużej przewagi liczebnej oraz lepszego uzbrojenia Wehrmachtu nasi obrońcy musieli wycofać się przez ten kopiec aż do Dzięgielowa – opisuje Szkucik.

Z drogi, którą idziemy mając po prawej stronie Grodzisko, widzimy na lewo dymiące kominy huty, a za nimi Ostry, Jaworowy, Godulę. Z kolei przed nimi Jagodną (fot. 47).

NOWY ŚWIAT

Idąc dalej w górę dochodzimy znów do głównej nowej drogi biegnącej do granicy. Skręcamy w prawo. Ponownie z prawej strony widzimy Grodzisko z charakterystycznym masztem przekaźnikowym. – Ta dzielnica Lesznej to Nowy Świat – wyjaśniają moi przewodnicy, którzy notabene właśnie w tej części miejscowości mieszkają. – Mój dziadek wybudował tutaj dom w 1930 roku. Wcześniej dziadkowie mieszkali niżej – wyjaśnia Tadeusz Szkucik.



[47] Z drogi, którą idziemy mając po prawej stronie Grodzisko, na lewo widzimy dymiące kominy huty, a za nimi Jaworowy, Ostry, Godulę.

[48] Dawny budynek policji



[49] Budynek dawnej remizy strażackiej





[50] Cmentarz ewangelicki

Mijamy dom moich przewodników. Zatrzymujemy się nieco wyżej, pod budynkiem dawnej policji granicznej wybudowanym w 1920 roku (fot. 48). Obecnie stoi pusty, jest majątkiem Miasta Trzyniec. Tadeusz Szkucik wspomina natomiast różne okresy w dziejach budynku. Swojego czasu na jego elewacji wisiła budka telefoniczna będąca jedynym aparatem telefonicznym w całej wsi. Mój przewodnik wspomina także, jak w suterenie tegoż budynku funkcjonowało kino objazdowe. W budynku znajdowały się też mieszkania dla policjantów.

Idąc dalej w górę, w stronę granicy państwowej, po prawej stronie widzimy budynek dawnej remizy strażackiej (fot. 49). Nie pełniła ona jednak już tej funkcji w latach 80. XX wieku, kiedy był tutaj ostatni przystanek autobusowy. Obecnie w byłej remizie znajduje się kuźnia. – *Wtedy oszczędzano na paliwie, więc kierowca, który koń-*

czył tutaj ostatni kurs, szedł spać do komórki znajdującej się w wieżyczce remizy, a rano prowadził pierwszy kurs autobusu „werkowego”. A bywało, że jak zasnął i się przy autobusie nie pojawił, to chłopy leciały go budzić – wspomina Tadeusz Szkucik.

Teraz autobus kończy kurs przy samej granicy. My jednak nie idziemy prosto do granicy. Tuż za przystankiem skręcamy w prawo, na cmentarz. Przed sobą widzimy szczyt Wróżnej. A u jego podnóża stado krów należące do największego obecnego rolnika w Lesznej.

CMENTARZ EWANGELICKI

Wchodzimy na cmentarz (fot. 50). – *Powstał w połowie XIX wieku, w 1859 roku. Mówi się na niego Kubówka, bo parcelę pod cmentarz sprzedał gminie Jakub Łamacz. Co prawda znajduje się w Lesznej Górnej, ale w jego budowie partycypowali także Dolnolesznia-*

nie – wyjaśniają Szkucikowie. Wskazują na mogiły mające największe dla nich, jako działaczy MK PZKO w Lesznej, znaczenie. Przede wszystkim na grób długoletniego kierownika szkoły ewangelickiej Jerzego Mrowca (fot. 51). – *Jerzy Mrowiec uczył w lesznieńskiej szkole ewangelickiej 51 lat (1849 – 1900). Był też homeopatą, ogrodnikiem, pisarzem gminnym, bibliotekarzem, a do tego, gdy nie było księdza, to prowadził pogrzeby najbardziej potrzebujących obywateli wsi.*

Z cmentarza wychodzimy furtką prowadzącą na łąkę. Przed nami rozpościera się panorama gór (fot. 52). Widać stąd Tuł i Małą Czantorię.

Przechodzimy ścieżką przez łąkę, a gdy dochodzimy do asfaltowej drogi, skręcamy w prawo, w dół. Po lewej stronie mamy budynek szkoły ewangelickiej z 1853 roku (fot. 53). Polska szkoła istniała tutaj w latach 1853 – 1924. Po zamknięciu szkoły

[51] Nagrobek długoletniego dyrektora szkoły Jerzego Mrowca na cmentarzu ewangelickim w Lesznej Górnej.



[52] Panorama widoczna od bocznej furtki cmentarza ewangelickiego na Tuł i Małą Czantorię.





[54] Boczna droga nazywana Wywóz



[55] Obiekt przejścia granicznego

polskiej w budynku znajdowała się w latach 1924 – 1938 oraz 1945 – 1962 szkoła czeska, a w okresie lat 1963 – 1995 przedszkole czeskie. Obecnie znajduje się tu przedszkole ewangelickie. Jest ono filią czeskiej Kościelnej Szkoły Podstawowej na Sośnie, koło której przechodziliśmy na początku naszego spaceru. My zaś wędrujemy pod górkę boczną drogą nazywaną Wywóz (fot. 54). Doprowadzi nas ona, biegnąc w pobliżu granicy państwowej, do głównej drogi prowadzącej do granicy, którą przecinaliśmy nie raz.

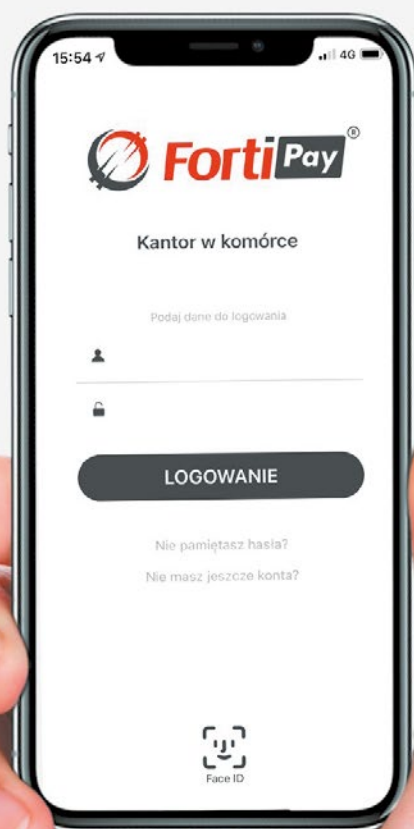
Skręcamy w prawo i po chwili dochodzimy do obiektu przejścia granicznego (fot. 55). Gdy spojrzemy w lewo, to znów zobaczymy dymiące kominy Huty Trzynieckiej (fot. 56). Przed sobą natomiast mamy gospodę, sklep oraz przystanek autobusowy Trzy-

niec, Górna Leszna, granica państwowa (Trinec, Horní Lištná, státní hranice). Tutaj kończymy nasz spacer. Za nami 9 km spaceru. Wsiadamy w autobus do Trzyńca. Jeśli zostawiliśmy samochód na parkingu na Sośnie, to także musimy pojechać auto-

busem do Trzyńca, by stamtąd kolejnym autobusem dojechać na Sosnę. Albo wrócić na Sosnę pieszo. Najkrótsza droga od przejścia granicznego do szpitala na Sośnie to niespełna 4 km, które pokonamy za ponad godzinę czasu.



[56] Widok spod przejścia granicznego na hutę



POZIOMO:

1. generalny w wojsku
5. gruba gałąź
9. wyciąg z dokumentu
12. piękno
13. niewytrzebiony samiec konia
14. żyje na rafie
15. odurzenie po wódce
16. posiłek spożywany w środku dnia
17. zjawia
18. głuchy stukot
19. egzotyczna jaszczurka
22. rozpiętość głosu ludzkiego

25. lekkie uderzenie
28. choroba stawu
31. współodczuwanie
34. igraszka
35. sieć na ryby
37. spłaszczony mięczak
38. deformacja
39. *samobija*
40. praprzodek *Krasuli*
41. ocena w dzienniczku
42. część pożyczki państwowej puszczone w obieg
46. gniazdko elektryczne

50. polecenie
52. beczułka na wino
54. *Jacek Soplica*
57. nowo wybrany
58. argentyński taniec
59. z grupy granatów
60. lita skała
61. masa o półstałej konsystencji
62. budka z gazetami
63. książę Nowogrodu
64. w oknie
65. kminkówka
66. lutowa solenizantka

PIONOWO:

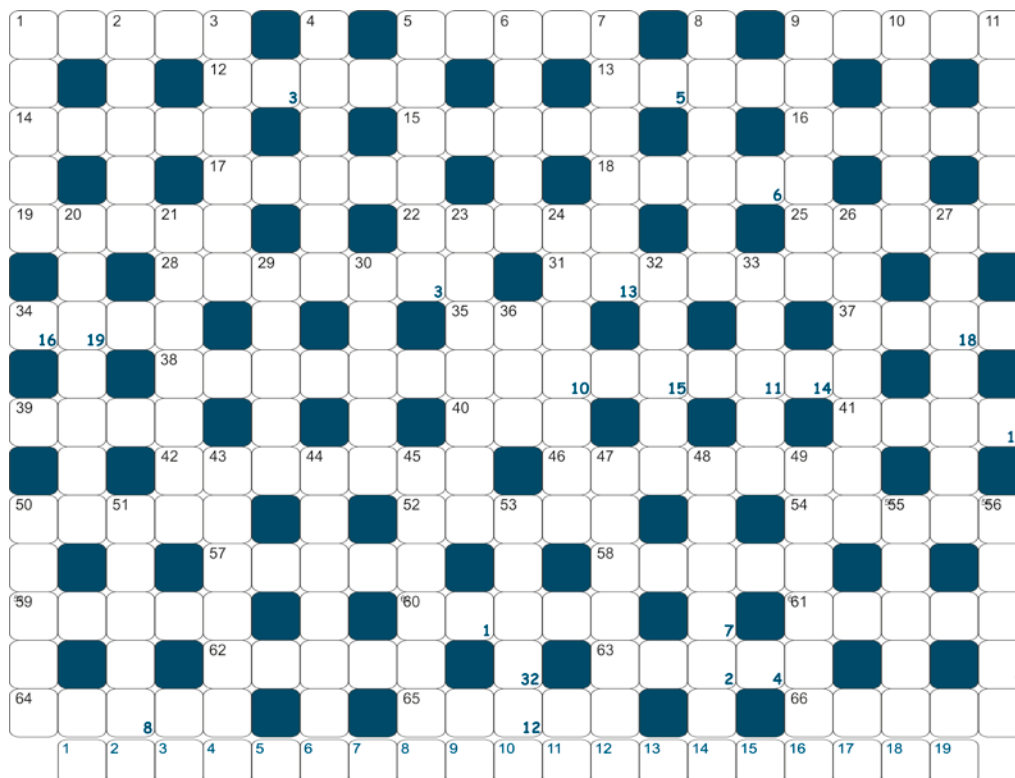
1. oderwana grupa religijna
2. marchew na niej zetrzęs
3. nabrzeże
4. druk reklamowy
5. koń maści czarnej
6. edukacja
7. podział partii
8. niebieska planeta
9. żyźworolki
10. fałda na sukni
11. deska z muszlą
20. na obrzeżach państwa
21. długi nóż do cięcia trzciny
23. kwitnie w czasie matury
24. pani doktor
26. aria ze skargą
27. brezentowa płachta do budowy namiotów
29. alkaloid w herbacie
30. demon śmierci
32. bałwan i głupek
33. tło pod tekstem
36. bije wszystkie barwy
43. wchodzi w skład stawu kolanowego
44. choroba
45. wcina się w ląd
47. wyrzeźbiony przez Stwosza
48. graniczy z tajgą
49. stawiana nad i
50. reklamowy na ulotce
51. jedenastka
53. Ilion
55. Barbara w piaskownicy
56. pokrywa

ROZWIĄZANIE DODATKOWE
(Eskapady *Małego rycerza*)

Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przysyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **9 lutego 2024**. Rozwiązanie krzyżówki z nr 12/2023: Nie ma wody na pustyni.

Nagrodę, bono do *Vinoteki Jakub*, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje *Jerzy Waclawik z Piotrowic.. Gratulujemy!*



VINOTEKA JAKUB

**NAJLEPSZE
WINA W
CENTRUM
CZESKIEGO
CIESZYNA**

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

7 Kościół na Niwach w Cieszynie stał się miejscem niezwykłego wydarzenia muzycznego. *Koncert świąteczny*, zorganizowany przez Polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, od pierwszych chwil zachwylił zgromadzoną publiczność. Uroczystość rozpoczęła się od mocnego organowego preludium w wykonaniu Karola Kaczmarskiego. Pastor Marcin Piętań oraz ksiądz Sebastian Jarczyk wprowadzili słuchaczy w atmosferę zbliżających się Świąt. Program koncertu był różnorodny, łączył tradycyjne kolędy z nowoczesnymi interpretacjami świątecznych klasyków. Wśród wykonawców znaleźli się kapela *Zorómbek* oraz chór *Collegium Iuvenum* pod batutą Leszka Kaliny. Nie zabrakło również absolwentów – Przemka Orszulika oraz Mateusza Fajkusa. Przedstawili nowoczesne aranżacje kolęd i pastorałek. Na zakończenie chór zaprosił do wspólnego odśpiewania kolędy *Dzisiaj w Betlejem*. ▼



7 W Bibliotece w Trzyńcu odbyło się czwarte i ostatnie spotkanie poświęcone zaolziańskiemu pisarzowi, poecie i działaczowi społecznemu Adamowi Wawroszowi. Oprócz prelekcji Jany Raclavskiej z Wydziału Sławiastyki Uniwersytetu w Ostrawie, goście mogli wysłuchać recytacji twórczości Adama Wawrosza w wykonaniu Karola Suszki, krótkiego koncertu chóru *Hutnik* i obejrzeć dwie jednoaktówki w wykonaniu Zespołu Teatralnego z MK PZKO w Milikowie-Centrum.

9 W Białymstoku odbyła się 32. edycja finału Konkursu Recytatorskiego im. A. Mickiewicza dla Polaków z Zagranicy *Kresy*. Grand Prix w tegorocznym konkursie otrzymała Katarzyna Beczko z Ukrainy. Pierwsze miejsce wywalczył Tomasz Sidorowicz z Litwy, drugie miejsce Donata Sawanevičiute z Litwy. Trzecią nagrodę zdobyła Iżabela Bolek z Czech, uczennica Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie. ▼



9 Szkoła Podstawowa i Przedszkole z Polskim Językiem Nauczania w Olbrachcicach obchodziła swoje 195-lecie, świętując ten wyjątkowy jubileusz bogatym programem artystycznym zatytułowanym *Tuwimowo*, w którym uczniowie przedstawiali wiersze Juliana Tuwima. Na uroczystości obecni byli znamienici goście. MK PZKO z Olbrachcicach wręczyło szkole wyjątkowy prezent – bon na bezpłatne korzystanie z Do-

mu PZKO. Po oficjalnych częściach obchodów odbyła się zabawa, w której wspólnie z dziećmi uczestniczyli rodzice, świętując razem ten ważny dla szkoły dzień. ▼



10 W Domu Kultury *Trisia* w Trzyńcu odbył się wyjątkowy *Koncert Świąteczny*. Tego wieczoru miłośnicy muzyki zgromadzeni w foyer trzyńskiego domu kultury mieli okazję doświadczyć prawdziwej uczytwej muzycznej przygotowanej przez Polski Zespół Śpiewaczy *Hutnik* oraz zaproszonych gości. Oprócz gospodarza w koncercie wystąpili chór szkolny *Wesoła Nutka*, rodzeństwo Helena, Bogdan i Daniel Pustówkowie oraz tenor Władysław Czepiec. Wyjątkowym momentem wieczoru była ceremonia wręczenia Złotej Odznaki z Granatami kierownicze zespołu Annie Kornucie. Odznaczenie to, przyznane przez Unię Chórów Czeskich, stanowiło uhonorowanie jej pięćdziesięcioletniej, nieocenionej pracy i poświęcenia dla chóru *Hutnik* oraz szeroko pojętej kultury muzycznej.

12 W Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Pradze odbyło się spotkanie wigilijne społeczności polskiej w Republice Czeskiej. ▼



12 W Domu Narodowym w Cieszynie odbył się wernisaż wystawy obrazów oraz artefaktów z życia malarza Pawła Wałacha. Wystawa powstała z okazji pierwszej rocznicy śmierci zaolziańskiego artysty. Pejzaże, portrety, stroje ludowe, kwiaty lub chatki, to wszystko można zobaczyć na obrazach Pawła Wałacha, zdobiących obecnie salę Centrum Folkloru Śląska Cieszyńskiego. Oprócz obrazów na wystawie można zobaczyć także przedmioty związane z artystą – na przykład przybornik z farbami i pędzłami, paletę lub sztalugę malarską, których Paweł Wałach używał. Ekspozycja będzie dostępna do końca lutego 2024 roku na drugim piętrze Domu Narodowego w Cieszynie w godzinach pracy instytucji. ▼



14 Na Strzelnicy spotkało się 41 członkiń Klubu Nauczycieli Emerytów działającego w ramach Towarzystwa Nauczycieli Polskich. Wspólne chwile na spotkaniu umilił zespół *Ta Grupa*, który zaśpiewał utwory ze swojego koncertu jubileuszowego.

17 W kościele ewangelickim Na Niwach w Czeskim Cieszynie odbył się koncert świąteczny pt. *Czas radości*, który przygotowali *Kamraci z Kamratkami* z Hawierzowa Błędowic. Specjalnie na tę okazję zespół przygotował kolędy, których zapisy dochowały się w placówkach muzealnych. Opracowaniem repertuaru oraz kierownictwem kapeli zajął się Henryk Bilan. Koncert swoim śpiewem umilił *Mali Błędowianie*. Publiczność, która po brzegi wypełniła wnętrze kościoła, wysłuchała również koncertu organowego w wykonaniu Marty Wierzgoń. Wieczór prowadzili Halina Hejera i Zygmunt Grudziński. ▼



17 Świąteczną atmosferę w trzecią niedzielę adwentu podkreślił koncert świąteczny *Ta święta noc*, który odbył się w Kościele Ewangelickim w Nawsiu. Organizatorem tego tradycyjnego koncertu jest Chór Żeński *Melodia*. Pod batutą Aleksandry Zeman chór zaprezentował publiczności utwory o tematyce bożonarodzeniowej ze swojej nowej płyty *Ta święta noc*, którą można było nabyć na miejscu. W tym roku gościnnie wystąpił chór *Canticum Novum* pod batutą dyr. Leszka Kaliny. Wielkimi brawami nagrodzono występ tenora Władysława Czepca.

22 W Domu Kultury *Trisia* w Trzyniecu odbył się *Koncert Świąteczny* zespołów folklorystycznych z Zaolzia. Realizatorami wydarzenia są ZG PZKO oraz MK PZKO Czeski Cieszyń-Olza. Na scenie wystąpiły zespoły *Błędowice*, *Zespolik*, *Bystrzyca*, *Łączka*, *Oldrzychowice*, *Małe Oldrzychowice*, *Zaolzioczek*, *Zaolzi*, *Rytymika*, *Suszanie* oraz *Olza*. Oczywiście nie mogło zabraknąć zaolziańskich kapel ludowych, zagrały między innymi *Kapela Lipka*, *Kapela Nowina* i *Kapela Bezmiana*. ▼



27 Jak co roku tuż po świętach w trzynieckim Domu Kultury *Trisia* odbył się tradycyjny Bal Akademicki. Zebranych przywitała nowa prezes SAJu Katarzyna Roszka wraz z konferansjerem Dominikiem Poločkem. W pierwszym punkcie programu przedstawił się Zespół Folklorystyczny *Bystrzyca*, który zatańczył w strojach ułańskich poloneza w choreografii Doroty Cymorek. Następnie tancerze z *Bystrzycy* zaprosili do wspólnego tańca wszystkich obecnych. Goście Balu Akademickiego podziwiać



też mogli występ zespołu *Bystrzyca* w choreografii Jakuba Kalety do piosenki *Thriller* Michaela Jacksona. Kolejnym punktem programu był koncert zespołu *Dr. Ong*, który zachęcił do śpiewania i tańczenia do hitów polskich, czeskich, a nawet słowackich. Muzykę serwował do rana DJ Młynek, a w foyer grała kapela góralska *Dinosama*.

28 W dolnolutyńskim Domu Kultury odbyło się świąteczne spotkanie członków miejscowego koła PZKO, sympatyków i delegacji sąsiednich kół z Rychwałdu, Orłowej, Wierzniowic i Bogumina. W części artystycznej przedstawiły się członkinie młodzieżowego klubu – Karolina Ćmiel i Karolina Citronowa z wiązanąką wierszy tematycznych, zaś Helena Woźnica zagrała trzy utwory na saksofonie. Duże wrażenie na uczestnikach spotkania zrobił zespół *Olzanki* działający przy Wiejskim Domu Kultury w Olzie, w gminie Gorzyce. ▼



29 W skrzeczorskim Domu PZKO odbyła się tradycyjna *Wigilijka*, podczas której pożegnano stary 2023 rok i uroczystie powitano nowy 2024 rok. Nie zabrakło świątecznie ustrojonej choinki i pięknej szopki bożonarodzeniowej. W ramach programu kulturalnego zawitał do Skrzeczonia kwartet śpiewaczy *Dobry wieczór*. Atrakcją dla sporej grupki dzieci były warsztaty świąteczne, które przygotowała członkini zarządu Koła Justyna Wojwoda.

29 Teatryki Gapcio i GAPA 3 z MK PZKO wystąpiły podczas *Spotkania Świątecznego*. Młodzi aktorzy zaprezentowali się w przedstawieniu *Kto ukradł święta?*, starsi w *Przedstawieniu Christmasowym*. Oba spektakle sprawiły, że publiczność śmiała się do rozpuku.

29 Uczniowie Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie zorganizowali tradycyjną wycieczkę dla uczniów i nauczycieli w góry. Spotkanie rozpoczęło się wcześniej rano na peronie w Mostach koło Jabłonkowa, skąd wszyscy entuzjaści przyrody i aktywnego wypoczynku wyruszyli na spacer liczący około 12 kilometrów. Malownicza trasa prowadziła przez Skałkę, Sewerkę, aż do Wielkiego Połomu.

29 W Domu PZKO *Kasowy* w Mostach koło Jabłonkowa odbył się *Kluboturniej*, którego tematem było *Bóg się rodził!*. Impreza rozpoczęła się serią współzawodnictw. Dress code, który również był oceniany, nazwany był *Galaty w praniu*. Po ogłoszeniu zwycięzcy, którym został Klub Młodych z Milikowa-Centrum, organizatorzy zaprosili do wspólnej zabawy.

30 Zmarła Pawełka Niedoba, aktorka i kierowniczka Teatru *Lalek Bajka*. Zespołem kierowała od roku 1993 do roku 2009.

PAMIĄTKA RODZINNA

ODZNAKA KRZYŻ OŚWIĘCIMSKI

Nadesłane przez Janinę Procner, Danutę Niedobę i Emilię Rzońcę (córki Anny Sedlaczek)

Przygotowała: Sylwia Grudzień



Odznaka w kształcie krzyża równoramiennego o wymiarach 42 mm, srebrzona, oksydowana. Na środku krzyża znajduje się kompozycja trójkąta czerwonego z literką P na tle drutów kolczastych i dwóch słupów, a na poziomych ramionach krzyża jest umieszczony napis: 1939/1945. Wstążka o szerokości 40 mm z jedenastoma pionowymi paskami w kolorach jasnopopielatym i niebieskim.

Krzyż Oświęcimski to polskie odznaczenie państwowe ustanowione ustawą z dnia 14 marca 1985 jako wyraz hołdu dla osób więzionych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych za udział w walce o wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej, działalność patriotyczną, rewolucyjną i postępową, z powodu przynależności narodowej lub rasowej oraz z innych przyczyn politycznych, w hołdzie dla ich męczeństwa i odwagi. Nazwa odznaczenia pochodzi od obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Ten egzemplarz należał do Anny Sedlaczek z domu Kabot (1917–2002), która była więziona w obozie koncentracyjnym Auschwitz za działalność konspiracyjną.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.